

OŻARÓW

Samorządowe pismo społeczno-kulturalne

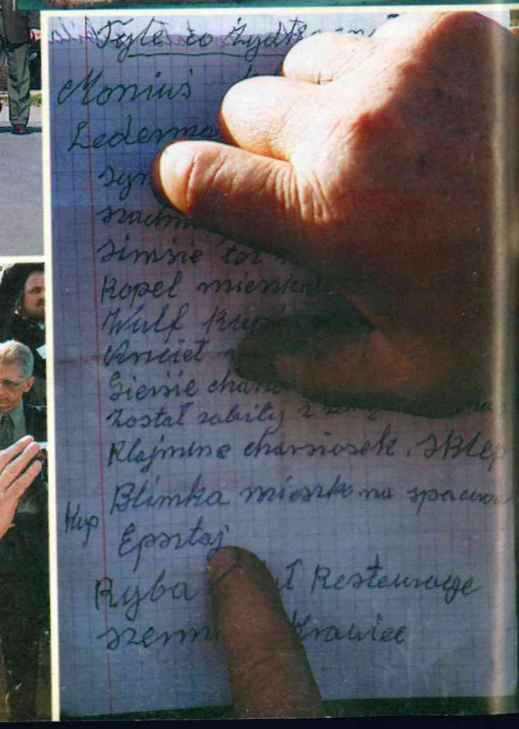
Nr 11/31 listopad 2001 Rok III ISSN 1507-7438 Nakład 1000 egz.



© PAIR MYJAKPRESS



ŻYDZI W OŻAROWIE
15.10.2001
czyt. str. 10



JANOPOL - PIOTRÓW

Wies Janopol składa się z części: Dąbrówka, Las Staboszewski, Nowy Janopol i Piotrów. Występują też obiekty fizjograficzne, pola: Górki, Janopolskie Pola, Piotrów i leśny fragment, zwany Lasem Janopolskim. Dawniej (do reformy administracyjnej w latach 70. XX w.) Janopol należał do gromady Lasocin. Nazwa Janopol ma charakter pamiątkowy. Pochodzi od imienia Jan. Zagadkowa jest jednak dostawka „-pol”, z greckiego *polis*, co po przetłumaczeniu na język polski oznacza *miasto*. Nazwy z częścią „-pol” stały się popularne na wschodnich terenach dawnej Polski. Z najbliższych sąsiadów Janopola o podobnej etymologii należy wymienić Annopol.

Nieco światła na pochodzenie nazwy

rzucają wspomnienia Jana Kamińskiego, którego dziad, również Jan, zakupił w II połowie XIX w. z trzech okolicznych majątków dużą połąc ziemską, tzw. kopaninę, a więc pola po wyciętym lesie. A że losy rodziny Kamińskich związane były częściowo z Rosją, więc nie powinna dziwić ta nazwa. Tradycja rodzinna Kamińskich utrzymuje, że Janopol to po prostu pole Jana - ich przodka, który założył wieś. Z biegiem czasu rodzina Kamińskich rozrastała się i powstawały wciąż nowe gospodarstwa. Została założona nawet Kolonia Janopol, pod lasem od południowej strony.

Ziemia w tej wsi ma rolniczo zróżnicowaną wartość. Obok urodzajnych pól pszenno-buraczanych występują też fragmenty zupełnie kiepskich gruntów, zwane szyderczo „ziemią pszenno-jałowcówką”, czyli taką, na której z trudem rośnie nawet jałowiec. A ten do wybrednych roślin nie należy. Ta nieu-

rodzajna część współczesnego Janopola to przede wszystkim dawna wieś Piotrów, skurczona w ostatnich dziesięcioleciach do kilku zaledwie zagrod. Dlatego też została włączona do Janopola. Kolejna więc wieś znika z Ożarowszczyzny wskutek kryzysu rolnictwa. Zresztą przyszłość Janopola również jest zagrożona.

Radykalnie zmniejsza się liczba mieszkańców, a także gospodarstw. Ta leśna miejscowość, wyrosła w XIX w. na rozległej polanie, po zaledwie stu kilkudziesięciu latach może znowu zamienić się w las, który już dziś wdziera się w niedawne pola uprawne. Rolnicy bowiem nie widzą sensu uprawiania roli na glebie klasy V i VI. Choć niektórzy, jak na przykład Potocki, zaczęli sadzić na lepszych kawałkach drzewa owocowe, a inni przyjazdy i pobyty w Janopolu traktują w kategoriach wczasowych. A jest tu spokojnie i sielsko.

J. Myjak



Fot. M. Sus

CZAS ZATRZYMANY NA KLISZY - JANOPOL

ze zbiorów rodzinnych Kamińskich



Jadwiga Kamińska, Józef Kamiński i Jan Kamiński,
w środku Maksymilian Grudnik



Helena z Karbowski - żona Józefa oraz Stanisława - żona Gościerada
Kamińskich - rok 1905



Lucyna Kamińska z Janopola z uczniami SP w Czachowie - lata 60.



Prababka Jana Kamińskiego



Jan Karbowski, zginął w gulagu
w 1933 r.



Jan Kamiński jako
gimnazjalista sandomierski

KRONIKA OZAROWSKA

► W wieku 90 lat, 16 listopada zmarła Anna Duda, nestorka pedagogów lasocińskich.

► W Prusach w połowie listopada spaliła się stodoła. Do tragicznego wypadku doszło w Szymanówce. W wypadku samochodowym zginęła mieszkanka tej wsi.

► „Bawimy się zdrowo-bezalkoholowo” to tytuł imprezy zorganizowanej w M-GOK 24 listopada przez Urząd Miasta i Gminy w Ożarowie.

► Zatarcie się łożyska silnika było przyczyną wypadku samolotu Orlik PZL-130, który rozbił się na polach Janowa pod koniec października (czyt. reportaż „Spadła z nieba” „Ożarów” nr 30). Samolot pilotowała 19-letnia studentka Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. Maszyna leciała z Radomia i nagle gwałtownie spadła prędkość obrotów śmigła, co uniemożliwiło dalszy lot. Pilotka zachowała zimną krew i zdążyła wyskoczyć ze spadochronem, który uratował jej życie.

► Zarząd Miasta przedstawił Radzie Miejskiej projekt budżetu na 2002 r., w którym nastąpi tylko nieznaczna recesja dochodów, jaka wpłynie na stagnację dochodów budżetowych w porównaniu z 2001 r. Płynnie przebiegają jednak w tym roku inwestycje, tj. budowa krytej pływalni, modernizacja przychodni zdrowia, rozbudowa strażnicy OSP w Ożarowie - zadania te będą zakończone w 2002 r. i mają pełne zabezpieczenie środków budżetowych. Wynika z tego, że budżet Ożarowa nie w pełni odzwierciedla marazm, jaki zaznaczył się w budżetach jednostek samorządowych. Warto zatem mieszkać w gminie Ożarów.

► „Alit” Ożarów został mistrzem rundy jesiennej w IV lidze piłki nożnej województwa świętokrzyskiego. Po ostatnim w rundzie jesiennej meczu (zwycięstwo 2:0 nad mocnym „Granatem” Skarżysko) umocnił pozycję lidera. Zdobył 34 punkty. Druga drużyna, „Orlicz” Suchedniów, ma ich 31. Drużyna ożarowska, prowadzona przez Jarosława Lipowskiego, chcąc zdobyć awans do III ligi, będzie musiała w rundzie wiosennej nadal utrzymać dobrą formę.

► 8 listopada odbyło się w Urzędzie Miasta spotkanie sołtysów z kierownictwem Urzędu Miasta i Gminy. M.in. przedstawiona została przez przedstawiciela oferta Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych. Przedmiotem oferty jest kompleksowe ubezpieczenie gospodarstw wiejskich. Z sołtysami spotkał się też wiceprezes Izby Rolniczej w Kielcach R. Ciżła. Zapoznał zebranych z pracą Izby oraz nowym programem działania na rzecz wsi w kontekście przystąpienia Polski do Unii Europejskiej.

► 15 listopada Zarząd Miasta i Gminy opracował projekty uchwał o budżetowych. Mówią one o wysokości planowanych podatków lokalnych na 2002 r. Zarząd przyjął przewidywania budżetowe na 2002 r. Zapowiada się trudny budżet na rok przyszły z uwagi na recesję gospodarczą.

► 16 listopada Zarząd Miasta i Gminy przekazał tzw. użyczenie nieruchomości po byłej Szkole Podstawowej w Jankowicach. Są to budynki szkoły, domu nauczyciela. Użyczenie nastąpiło na rzecz Wspólnoty Chleb Życia w Polsce, reprezentowanej przez siostrę przełożoną, Małgorzatę Chmielewską. Powstanie tu dom dla ludzi starszych i matek z dziećmi - ofiar przemocy.

► Ukazał się numer 4. tego roku kwartalnika „Cement Polski”, prestiżowego pisma cementowej branży. Wśród wielu ciekawych materiałów z zakresu budownictwa i architektury można znaleźć wątki ożarowskie. W artykule „Realizować marzenia”, sygnowanym skrótem „pie”, przedstawiony został doktor Marek Sobór, wiceprezes zarządu Cementowni „Ożarów” S A, który opowiedział reporterowi o pracy zawodowej i swoim życiu prywatnym. Natomiast z artykułu Piotra Piestrzyńskiego „W Ożarowie i Buxton” dowiadujemy się o zakończonej we wrześniu w ożarowskiej cementowni budowie nowego młyna cementu Z4. Prace trwały od kwietnia tego roku i prowadzone były przez Mostostal Kraków.

► Powstało stowarzyszenie

STOWARZYSZENIE PRYWATNYCH PRZEDSIĘBIORCÓW „INICJATYWA”, z siedzibą w Ożarowie przy ul. Stodolnej 5a, powstało 22.10.2001 r. Obecnie jest w toku rejestracji w Sądzie Rejonowym w Kielcach.

Celem Stowarzyszenia jest:

1. Badanie rynku i opinii publicznej.
2. Doradztwo w zakresie prowadzenia działalności gospodarczej.
3. Zarządzanie i kierowanie w zakresie prowadzenia działalności gospodarczej.
4. Reklama.
5. Działalność związana z pośrednictwem pracy.
6. Działalność związana z organizacją targów i wystaw.
7. Pozostała działalność komercyjna gdzie indziej niesklasyfikowana.

8. Pozaszkolne formy kształcenia gdzie indziej niesklasyfikowane.
9. Działalność organizacji komercyjnych i pracodawców.
10. Działalność pozostałych organizacji członkowskich gdzie indziej niesklasyfikowana.

Do Stowarzyszenia przystąpiło 19 członków - założycieli.

Wszystkich zainteresowanych, właścicieli firm, przedsiębiorców zapraszamy do współpracy.

Adres kontaktowy: Anna Stolz, Kancelaria Prawna „Temida”, ul. Stodolna 5, Ożarów.

► W M-GOK Ożarów odbył się wernisaż tkaniny artystycznej Alicji Aleksandrowicz.



WZMACNIANIE PATRIOTYZMU

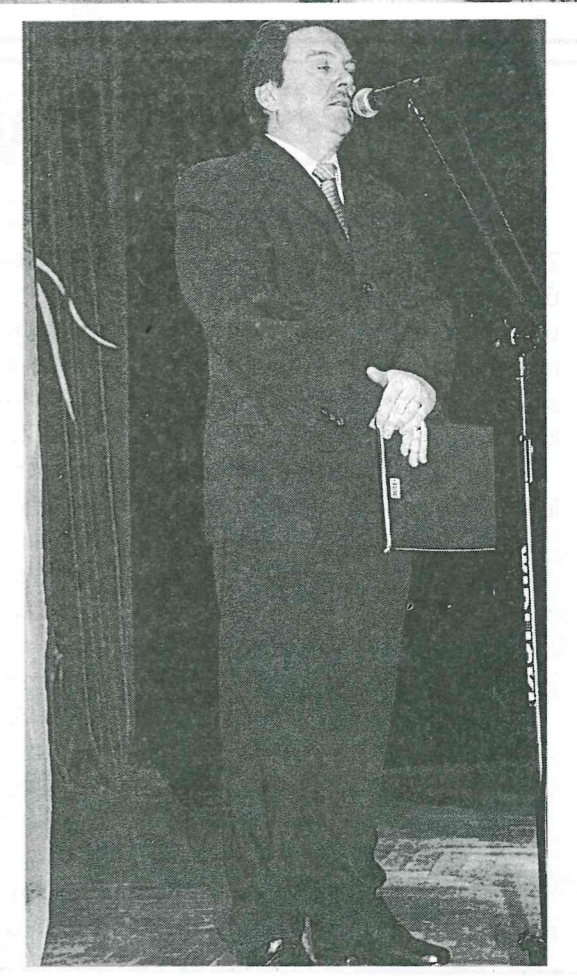
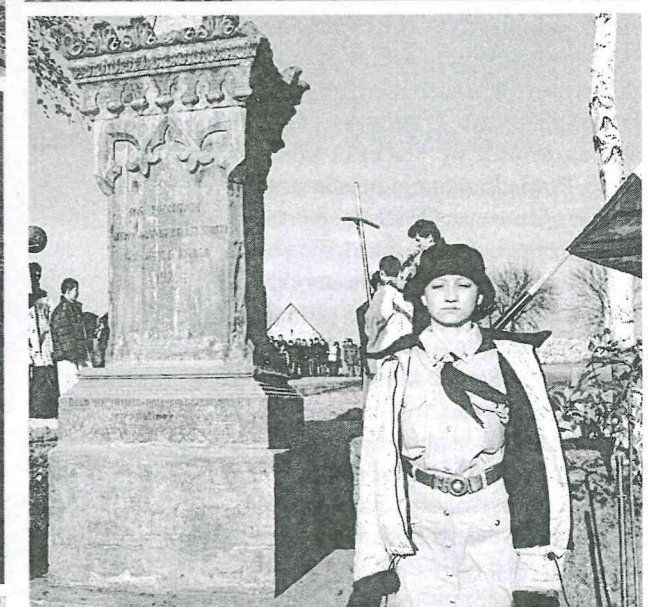
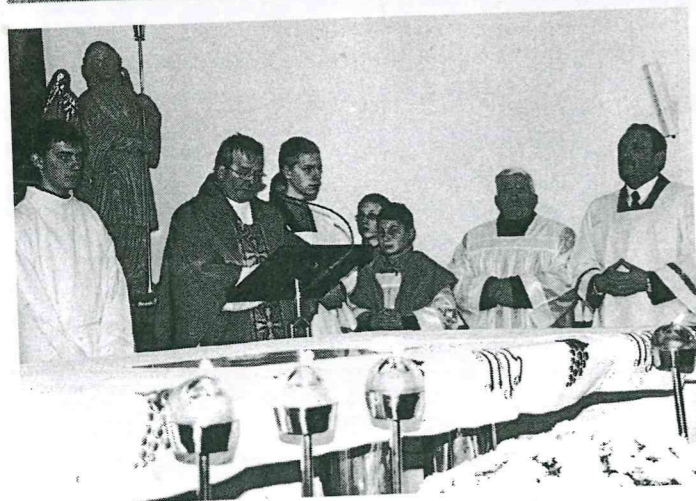
FOTOREPORTAŻ M. SUSA Z OBCHODÓW ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI W OZAROWIE I LASOCINIE

OZARÓW. Manifestacją patriotyczną i uroczystą sesją Rady Miejskiej uczczono w Ożarowie tegoroczne Święto Niepodległości. W uroczystościach wzięli udział: przedstawiciele samorządowych władz powiatowych z Przewodniczącą Rady Powiatu Alicją Różańską-Cembrowską, Starostą Opatowskim Kazimierzem Kotowskim i Wicestarostą Piotrem Stępiem, przedstawiciele samorządowych władz miasta i gminy Ożarów, Zarząd Miasta i Gminy Ożarów z Przewodniczącym Rady Mirosławem Adamkiem i Burmistrzem Marcinem Majcherem, przedstawiciele kombatanatów, zakładów pracy, instytucji, szkół, organizacji społecznych, a także różnych grup społeczności lokalnej. Manifestacja rozpoczęła się od uroczystego nabożeństwa za ojczyznę, koncelebrowanego przez proboszcza księdza dziekana Stanisława Szczerka i księży z gminy Ożarów. Następnie uczestnicy uroczystości przemaszzerowali pod Pomnik Czynu Niepodległościowego, pod którym delegacje złożyły wieńce i wiązanki kwiatów. W asyście pocztów sztandarowych manifestanci przemaszzerowali ulicami Ożarowa do sali wi-

dowskiej M-GOK, gdzie odbyła się uroczysta sesja Rady Miejskiej. Stosownie do uroczystego charakteru dnia, Przewodniczącą Rady Mirosław Adamek wygłosił przemówienie. Program artystyczny przygotował M-GOK w Ożarowie.

LASOCIN. Dwie akademie dla upamiętnienia Święta Niepodległości zorganizowała Szkoła Podstawowa w Lasocinie. Naj-

pierw 9 listopada uczniowie obejrżeli program poświęcony 83. rocznicy odzyskania niepodległości, przygotowany przez nauczycieli: Teresę Stec, Dorotę Bogdańską-Dąbrowską i Cezarego Surmańskiego oraz dzieci. 15 listopada program ten obejrżeli dorośli mieszkańcy Lasocina, przede wszystkim rodzice młodych artystów (na zdjęciu poniżej). **J.M.**



POMÓŻMY SPALONEJ!

Nieszczęście przyszło w niespokojny wieczór Święta Zmarłych. Huraganowy wiatr przewalał chmury nad Maruszowem. 76-letnia Marianna Kaczmarska wyjechała do Pionek, żeby zapalić znicze na grobie córki. W domu została druga córka i wnuczek. W towarzystwie dwóch młodych mieszkanki wsi oglądali w pokoju program telewizyjny. W pewnym momencie młody człowiek postanowił wyjść do sieni. Kiedy otworzył drzwi, do wnętrza wtargnęły kłęby dymu i ogniste jęzory. Ogień szedł od góry, gdzieś ze strychu. Domownicy i goście salwowali się ucieczką przez okno. Powiadomione jednostki strażackie z Ożarowa, Opatowa, Annapola przyjechały stosunkowo szybko. Niestety, stary drewniany domek Kaczmarskiej szybko płonął. Silny wiatr wzmagał płomienie. Rozrzucał płonące kawałki po sąsiednich posesjach. Na szczęście ukierunkował się na niezabudowaną przestrzeń. Spalił się dom i stojąca obok stodoła. Pożar strażacy ugasiłi, ale z zagrody Kaczmarskiej pozostał tylko zwęglony zarys pokoju i kamienny komin. Zapew-

ne przyczyną pożaru było zwarcie energii elektrycznej.

Samotną kobietę, która w kilkadziesiąt minut straciła cały dorobek, przygarnęli tymczasowo sąsiedzi, rodzina Ziarków. Marianna Kaczmarska nie chce opuszczać Maruszowa. Nie wyobraża sobie



życia gdzie indziej. Niestety, dom nie był ubezpieczony, a ze skromnej renty poszkodowana nie jest w stanie odbudować domu. Prosi zatem wszystkich ludzi dobrego serca o pomoc. Chciałaby skłecić choć skromny domek. Za naszym pośrednictwem zwraca się o pomoc. Będzie wdzięczna za każdy gest.

tekst J. Myjak, foto M. Sus

OZARÓW MAZOWIECKI

Jesteśmy tak bardzo przyzwyczajeni do własnego Ożarowa (z dodatkiem: Opatowski), że wiadomość o istnieniu innej miejscowości o takiej nazwie przyjmujemy z trudem. A przecież dla przeciętnego warszawianina w świadomości zagnieździł się Ożarów Mazowiecki...

Skoro istnieje brat, więc warto go przedstawić. Wybrałem się więc do podwarszawskiego Ożarowa, żeby przybliżyć jego wizerunek naszym Czytelnikom. A więc nasz „bliźniak” to dziś podstołeczne osiedle, satelita wielkiego miasta, trzymająca się jednak stałego miejsca - czyli szosy Warszawa - Poznań, a nawet pisząc szerzej, Moskwa-Berlin. Dwa pasma tej międzynarodowej arterii rozdzielają miasto na dwie części, co - jak łatwo zgadnąć - ma dobre i złe strony.

Najpierw o zaletach. Ożarów, choć mały, nie wydaje się być zaściankowy. Otwarty do świata. A to nie tylko za sprawą szosy, ale również dlatego, że powstały i wciąż rodzą się nowe budowle, które swoim wy-

glądem sygnalizują, że miasto to wkroczyło na drogę nowoczesności. Uderza przybysza postmodernistyczna bryła luksusowego hotelu postawionego tuż przyszłości. Wzbudza respekt potężny kompleks słynnych ożarowskich „Kabli”. Fabryka kabli to dla Ożarowa Mazowieckiego główny „motor napędowy” gospodarki - tak jak dla Ożarowa Opatowskiego cementownia.

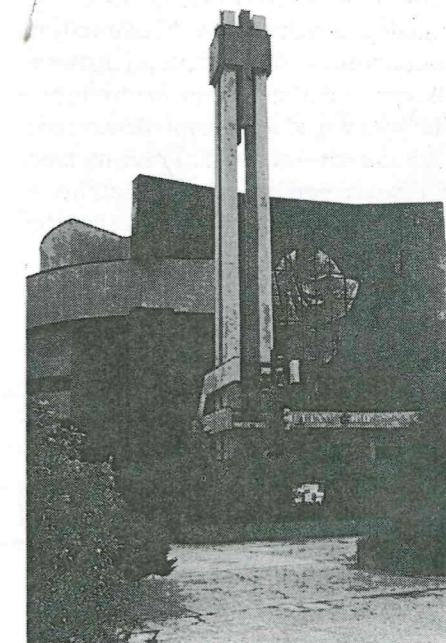
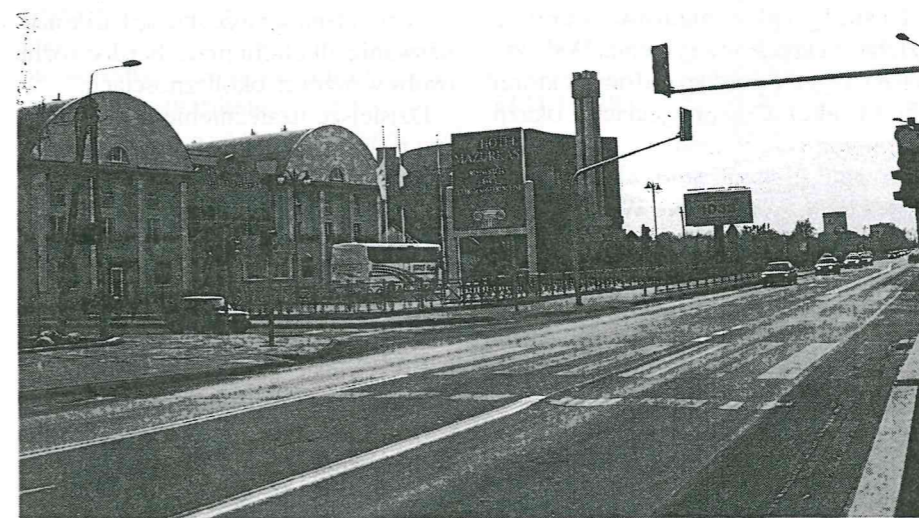
Na rozległym placu przed „Kablami” pamiętkowy głaz - pomnik z napisem: „W tej fabryce w październiku 1944 roku znajdował się obóz przejściowy Armii Krajowej”. Po powstaniu warszawskim osadzono tu około 11 tysięcy warszawskich powstań-

ców, których jesienią 1944 roku wywieziono do obozów. Z historii należy jeszcze przypomnieć walki we wrześniu 1939 r. Pod Ożarowem w Ołtarzewie zginął m.in. porucznik 2. Pułku Piechoty Artur Radziwiłł z Rytwian.

Współczesny Ożarów to również ośrodek warzywniczy. Widać to już z pryncypialnej ulicy Poznańskiej. Plantacje buraczane, marchewkowe wciskają się nawet między bloki. Sporo tu można spotkać szklarni. Z ogrodnictwem wiąże się również przylegająca od strony Warszawy giełda owocowo-warzywna Bronisze, która przoduje w kraju wśród rynków giełdowych.

Nad Ożarowem od 20 lat dominuje nowa jakość architektoniczna - monumentalna bryła Archidiecezjalnego Sanktuarium Miłosierdzia Bożego, położonego również, jak wszystko co ważne w tym Ożarowie, przy głównej ulicowce.

Tekst i foto J. Myjak



Z RAPORTÓW STRAŻY MIEJSKIEJ

W okresie października i listopada 2001 r. strażnicy Straży Miejskiej w Ożarowie ujawnili wielu sprawców wykroczeń i przestępstw, których ukarano mandatami; wystąpiono z wnioskami o ukaranie do sądu, bądź przekazano sprawę policji.

Do charakterystycznych zdarzeń należy zaliczyć:

- zatrzymanie nieletnich posiadających narkotyki (przekazano sprawę do policji),
- zatrzymanie i przekazanie policji pijanych kierowców, w tym kobiety,
- likwidacja „domowego śmietnika” przy ulicy Wysockiej (wywieziono 5 przyczep śmieci po 4.5 tony każda),
- zabezpieczanie kolizji domowych,
- interwencja w stosunku do nietrzeźwej matki z dwuletnim dzieckiem na ręku,

- ujawnienie i zatrzymanie sprawców „malowania” sprayem ścian budynków,
- interwencje w stosunku do osób spożywających alkohol w miejscach zabronionych przez ustawę.

Wyjątkowo pracowita noc mieli strażnicy z 23/24 listopada 2001 r., gdzie w czasie służby ujęto i przekazano policji:

- dwóch sprawców kradzieży z włamaniem do sklepu spożywczego na osiedlu Wzgórze,
- sprawcę kradzieży z włamaniem do garaży na osiedlu Wzgórze, odzyskano 2 skradzione rowery, gdzie jeden był oznakowany przez Straż Miejską,
- ujawniono wybite szyby w pojeździe przy ulicy Długiej oraz na osiedlu Wzgórze, jeden z nich był przygotowany do kradzieży.

To tylko niektóre zdarzenia z codziennej działalności strażników.

W związku ze zbliżającym się okresem zimowym Straż Miejska przypomina właścicielom, zarządcom, użytkownikom o obowiązku oczyszczania ze śniegu, lodu, błota chodników przylegających do posesji, instytucji, placówek handlowych itp.

Również ze względu na wcześniej zapadający zmrok należy zwrócić baczniejszą uwagę na zabezpieczenie swojego mienia.

Przypomina się również właścicielom psów o obowiązku stosowania środków zabezpieczających zwierzęta (kaganiec, smycz), gdyż są notowane coraz częstsze przypadki pogryzień osób dorosłych i dzieci. Takie przypadki będą dotkliwie i surowo karane.

Komendant Straży Miejskiej
mgr inż. Henryk Wzorek

ŚWIETLICE SOCJOTERAPEUTYCZNE

Inauguracja działalności świetlic w Ożarowie nastąpiła w 1998 r. Powstały wówczas trzy świetlice. Dwie przy Zespole Szkół Ogólnokształcących i jedna przy Klubie Abstynenta „Aster” w Ożarowie.

W 1999 r. kilkunastoosobowa grupa nauczycieli - wychowawców miasta i gminy odbyła warsztaty w zakresie prowadzenia świetlic socjoterapeutycznych.

Zgodnie z planem w zakresie rozwiązywania problemów alkoholowych na 1999 r. powstało następne sześć świetlic przy wszystkich szkołach podstawowych w gminie, tj. Lasocin, Gliniany, Janowice, Pisary, Suchodółka i Jankowice. Obecnie nie funkcjonuje świetlica w Jankowicach (likwidacja szkoły). Pozostałe mają się dobrze, prowadząc aktywną działalność.

Świetlice stały się jednym z instrumentów profilaktyki, tworzącym przesłanki do kształtowania zdrowego społeczeństwa.

Spółczesność współczesne, pomimo wielu wysiłków, nie potrafi uporać się z uzależnieniami. Najgroźniejszym z nich jest alkoholizm. Historia nasza nie jest wolna od problemów z tym związanych.

Dziedzictwo pijaństwa z jego skutkami, tkwiącymi zwłaszcza w obyczajowości, jest dostrzegane w naszym życiu,omalże na każdym kroku.

Okazuje się, że gorliwość i troska o trzeźwą Polskę były udziałem dużej rzeszy wybitnych działaczy trzeźwościowych XIX i XX wieku. Ocalone od zapomnienia materiały archiwalne, mówiące o społeczno-politycznych i religijnych uwarunkowaniach działalności trzeźwościowej, i ich pozytywnych skutkach, sięgają do naszych czasów. Nie straciły na aktualności wysiłki walki z pijaństwem, alkoholizmem, szeroko prowadzoną profilaktyką wśród rodzin, młodzieży i różnych innych środowisk. Pracy na rzecz trzeźwości podjęło się wielu autentycznych działaczy, których kilka sylwetek warto przybliżyć.

Romana Dediowa (1891-1967). Organizatorka życia oświatowego i społecznego, prekursorka trzeźwościowego apostołstwa wśród kobiet. Mówiła ona: „Bezwarunkowo dla wszystkich kobiet obowiązująca jest walka z alkoholizmem w rodzinie. Nie jest ona łatwa - ale od wygrania jej zależy szczęście kobiety i jej dzieci. Nie wolno jej więc szczerzyć pracy i trudu, by wstrzymać męża od picia”.

Ksiądz Tadeusz Gałdyński (1891-

1941). Propagator całkowitej trzeźwości, wieloletni sekretarz generalny Katolickiego Związku Abstynentów i Polskiej Ligi Przeciwalkoholowej. Zwracał uwagę: „Podstawowe zadania walki z alkoholizmem to: reforma poglądów i zwyczajów towarzyskich, reforma urzędów publicznych oraz organizacja pracy trzeźwościowej i doskonalenie siebie”.

Błogosławiony **Honorat Koźmiński** (1829-1918). Kapucyn, spowiednik, działacz trzeźwościowy, kaznodzieja, założyciel licznych zgromadzeń zakonnych, pisarz religijny. Jego motto - „Jeżeli chcecie, aby ogień miłości Bożej gorzał, nie zalewajcie go wódką”.

Dostrzegając plagę pijaństwa, starał się działać na rzecz otrzeźwienia. Wskazywał na tragedię polskiej rodziny, w której pije się alkohol na przyjęciach z okazji sakramentu chrztu, małżeństwa czy też pogrzebu. Gromił wynikające z tego brzydkie słowa i bijatyki. W trzeźwości narodu polskiego widział jego aktualny i przyszły warunek egzystencji i rozwoju. Działalność wyraźnie trzeźwościową zalecił przede wszystkim Siostrzom Służkom NMP Niepokalanej i Braciom Sługom Marii. Obydwa te zgromadzenia powołane zostały do pracy wśród ludności wiejskiej i działały skutecznie mimo przeciwności.

Artur Emil Selielo (1878-1958). Profesor gimnazjum, krzewiciel trzeźwości na Podhalu, twórca Koła Uczniów Abstynentów, propagator trzeźwości wśród nauczycieli po II wojnie światowej.

„Niech nikt nie myśli, że można zwalczać skutecznie alkoholizm wśród młodzieży, nie będąc abstynentem. To złudzenie” - A.Selielo. Selielo prowadził pracę trzeźwościową na terenie Podhala, a zwłaszcza w Zakopanem - założył wiele związków abstynenckich wśród górali, a także Związek Nauczycieli Abstynentów. Od 1928 r. był w Zarządzie Głównym. Pracował z młodzieżą, chciał wychować „zdrowe społeczeństwo”. Podczas lekcji i spotkań, w zamian za wyzbycie się używania napojów alkoholowych,

proponował młodzieży różne alternatywy. Twierdził, że - zawsze rewolucyjna i skora do przyjmowania nowych hasel młodzież - zdolna jest również do przyjęcia walki z alkoholizmem.

Pomimo upływu czasu, zmiany mentalności myślowej, nowych doświadczeń - jak wiele zawdzięczamy ówczesnym animatorom trzeźwości. Jak wiele z tych doświadczeń odnosimy na współczesny grunt w kształtowaniu „zdrowego społeczeństwa”. Doświadczenia te w istotnym stopniu wpływają m.in. na dzisiejszą profilaktykę, zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży.

Nowoczesne podejście do problematyki alkoholowej charakteryzuje się szeregiem istotnych zmian. Przede wszystkim zrezygnowano z używanego poprzednio powszechnie terminu „walka z alkoholizmem”. Zgodnie z terminologią międzynarodową wyrażenie to zostało zastąpione określeniem „rozwiązywanie problemów alkoholowych”. Nie jest to zmiana tylko językowa, ale ma na celu podkreślenie, że uwaga ekspertów i działaczy nie kieruje się wyłącznie na grupę osób uzależnionych od alkoholu i ich rodzin. Źródłem problemów może stać się każde nadużywanie alkoholu przez bardzo różne osoby w różnych okolicznościach.

Dzisiejsze uzależnienie od alkoholu jest traktowane jako choroba, a nie jak dawniej - zło moralne. Inną z przemian, dokonującą się w dziedzinie rozwiązywania problemów alkoholowych, jest centralizacja działań, uwzględniająca rosnącą odpowiedzialność społeczności lokalnych i jej liderów za kształtowanie polityki wobec alkoholu.

Instrumentem oddziałującym na omawianą problematykę jest wielokrotnie analizowana ustawa „O wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi”. Stanowi ona podstawę prawną i merytoryczną dla pracy samorządu. Ustawa wsparta jest Narodowym Programem Profilaktyki i Rozwiązywania Problemów Alkoholowych. Zakłada się, że działania lokalne mogą wywrzeć silny wpływ na politykę krajową, a nawet międzynarodową.

Samorząd lokalny wspólnie z lokalną koalicją trzeźwościową nie jest bezsilny. Posiada instrumenty w postaci rozwiązań prawnych. Posiada też środki finansowe, które mają służyć i w dobrych rękach służyć rozwiązywaniu problemów alkoholowych.

Jednym z zadań wynikających z ustawy jest prowadzenie profilaktycznej działalności informacyjnej i edukacyjnej w szcze-

gólności dla młodzieży. Obok wielu programów profilaktycznych, realizowanych w mieście i gminie Ożarów, od kilku lat funkcjonuje świetlica socjoterapeutyczna dla dzieci z grup ryzyka, ale nie tylko.

Z prowadzonych badań międzynarodowych wynika, że znacznie bardziej skuteczne są programy wykorzystujące grupę rówieśniczą od tradycyjnego układu nauczyciel - uczeń.

Wychowawcy świetlic socjoterapeutycznych przy Szkole Podstawowej w Ożarowie, Kasia Swacha i Piotr Ślęzak, mówią, że metody pracy „są to wszystkie metody, które dotyczą budowania z grupą pozytywnych i satysfakcjonujących kontaktów międzyosobowych: budowanie oraz stworzenie atmosfery zaufania, bezpieczeństwa, wzajemnego zrozumienia, umiejętności nawiązywania kontaktów, pogłębiania więzi, pobudzania do przemyśleń i doświadczenia siebie i swoich przeżyć”.

Wychowawcy w planie pracy, po analizie problemów występujących w grupie, zakładają cele pracy, które realizują w swoich klubach środowiskowych, czyli świetlicach. Są to głównie ukazywanie mechanizmów uzależnień (fazy choroby alkoholowej), kształtowanie umiejętności postępowania zgodnego z ogólnospołecznymi normami, umiejętności nawiązywania kontaktów interpersonalnych w środowisku rówieśniczym i dorosłym, umiejętności odróżniania własnych uczuć i emocji, następnie uczenie szukania pomocy i wsparcia emocjonalnego, współpraca ze szkołą i kilka innych celów.

Główną formą pracy z podopiecznymi są zajęcia grupowe o różnorodnym charakterze, jak zajęcia sportowe, socjotechniczne, gry i zabawy psychologiczne, dyskusje tematyczne, wspólna nauka, wycieczki, ogniska, rajdy.

Zaprezentowany został skrótowo plan

pracy dwu świetlic ożarowskich.

Mówi Krystyna Stawiarska, wychowawca w świetlicy socjoterapeutycznej przy Szkole Podstawowej w Pisarach: „Funkcjonujemy od dwóch lat. Zainteresowanie zajęciami jest duże. Przychodzą dzieci starej wsi Pisary oraz te, które mieszkają w pobliskim bloku mieszkalnym byłej spółdzielni produkcyjnej. Na zajęciach świetlicowych realizujemy programy profilaktyczne dotyczące rozwiązywania problemów alkoholowych. Dyrekcja szkoły przychylnie patrzy na nas i nasze poczynania. Zajęcia to pożyteczna, interesująca forma spędzania czasu. Można też zagrać w tenisa stołowego, piłkę, posłuchać muzyki, potańczyć, dowiedzieć się czegoś o sobie i swoich problemach”.

Uznajemy, że szkoły są dobrym miejscem, w którym koncentrować się powinna lokalna edukacja na temat alkoholu.

Marcin Kwieciński

BAWIMY SIĘ ZDROWO-BEZALKOHOLOWO

Miejscem promocji zdrowia, kulturalnej zabawy, edukacji środowiska Ożarowa i gminy stał się ostatnio Dom Kultury. Pod patronatem Urzędu Miasta i Gminy, samorządowego miesięcznika społeczno-kulturalnego „Ożarów” oraz regionalnej rozgłośni Polskiego Radia Kielce w dn. 24.11. br. odbył się poranek „Bawimy się zdrowo-bezalkoholowo”.

Na początku o godz. 10.00 był wernisaz plakatu o tematyce „Alkohol i inne uzależnienia”. Obejrzano sto kilkadziesiąt prac, które prezentował plastyk, dyr. Domu Kultury, Marian Sus. Później usłyszeliśmy słowo o uzależnieniach terapeuty Józka Spisackiego. Następnie konkursy wiedzy o uzależnieniach przeplatały się z występami „Radiowego Kabaretu Masztalskich” i rewii przebojów Małgorzaty Dureckiej. Nie zabrakło konkursu dla słuchaczy Polskiego Radia Kielce. Impreza była okazją do spotkania się blisko dwustu dzieci ze świetlic, wychowawców, samorządowców i licznej widowni, wśród której nie zabrakło działaczy Lokalnej Koalicji Trzeźwościowej z burmistrzem Marcinem Majcherem.

M.K.



PIERWSZA W KONKURSIE

SZKOŁA PODSTAWOWA W OZAROWIE NAJLEPSZĄ PODSTAWÓWKĄ W POLSCE W MIEJSCOWOŚCIACH DO 50 TYS. MIESZKAŃCÓW

Od dnia, w którym pierwszy raz przestąpiłam progi tej szkoły, wszystko w niej wydawało mi się najwyższej jakości: budynek, nauczyciele, obsługa, a przecież w poszukiwaniu pracy odwiedzałam wówczas tak wiele innych szkół w większych miejscowościach.

Cztery lata pracy nie wpłynęły na zmianę mojej oceny Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. Edwarda Szyłki w Ożarowie. Wręcz przeciwnie - utwierdziłam się w przekonaniu, że miałam szczęście trafić do tak wspaniałej placówki. Kiedy więc w „Super Expressie” zobaczyłam ogłoszenie o konkursie „Superszkola 2001” pomyślałam, że nasza szkoła ma duże szanse na zwycięstwo.

W listopadzie 2000 roku, jako opiekun samorządu uczniowskiego szkoły podstawowej, za zgodą pani dyrektor Alicji Różańskiej Cembrowskiej, zgłosiłam szkołę do tegoż konkursu w kategorii szkół podstawowych z miejscowości do 50 tys. mieszkańców. Pierwszy etap polegał na przeprowadzeniu wśród uczniów podstawówki anonimowej ankiety, w której dzieci oceniły swoją szkołę. Ankiety wraz z kuponem zgłoszeniowym samorządu wysłane zostały do redakcji „Super Expressu”.

Dopiero w maju otrzymaliśmy odpowiedź na nasze zgłoszenie: zakwalifikowaliśmy się do drugiego etapu konkursu. Teraz należało wypełnić przysłany z Warszawy kwestionariusz dotyczący m.in. zaplecza socjalnego szkoły, ilości uczniów, biorących udział w olimpiadach na najwyższych szczeblach, zajęć pozalekcyjnych, języków obcych, konkursów, zawodów sportowych i innych imprez odbywających się w naszej szkole. Przysłać trzeba, że ilość imprez odbywających się w naszej szkole w ciągu dwóch ostatnich lat była imponująca. Zabrakło miejsca w ankiecie na wyliczenie wszystkich - trzeba było spisać je aż w trzech załącznikach. Nasza ankietka liczyła więc nie jedną, ale siedem stron. Wszystkie dane potwierdzone zostały, według wymagań organizatorów konkursu, przez władze lokalne - Burmistrza Miasta i Gminy Marcina Majchera. Po wysłaniu tych informacji do Warszawy sprawa konkursu nieco ucichła.

Minęły wakacje. 25 września tego roku otrzymaliśmy informację telefoniczną, że spośród 763 stających do eliminacji szkół zakwalifikowaliśmy się do finału konkursu jako jedna z trzech placówek w naszej

kategorii. W związku z tym zaproszono nas do Warszawy na 3 października. Tam w redakcji „Super Expressu” mieliśmy zaprezentować naszą szkołę. Odliczając sobotę i niedzielę, zostało nam tylko 5 dni, żeby przygotować jakiś program. Organizatorzy ograniczyli czas wystąpienia każdej szkoły do 20 minut oraz liczbę występujących osób do pięciu, ale w zamian pozwolono na pełną dowolność formy programu i wykorzystywanego sprzętu. Po rozmowie z panią dyrektor zdecydowałyśmy, że nasza prezentacja będzie miała formę miniteatruku ilustrowanego wyświetlanymi z komputerowego rzutnika slajdami - fotografiami dokumentującymi działalność szkoły. Do przygotowań zaangażo-



wana została również pani Ewa Gumuła, nauczycielka nauczania zintegrowanego. Ona to zajęła się stroną artystyczną prezentacji. W ciągu jednej nocy napisała wspaniałą wiersz opowiadający o wszystkim, co dzieje się w naszej szkole. Występ ubarwiła piosenkami i tańcem. Pięć uczennic: Weronika Dziewirz (klasa IIIb), Aleksandra Chrapczyńska (klasa Vb), Magdalena Lewkowicz (klasa Vd), Agnieszka Majcher (klasa Vb) i Angelika Targowska (klasa Vb) z wielkim poświęceniem przygotowały się do tak ważnego występu. Moim zadaniem było zebrać dokumentację fotograficzną szkoły, wykonać kilka nowych zdjęć i wszystko skomponować razem.

Szybko nadszedł 3 października, dzień prezentacji szkoły. W Warszawie bez tru-

du udało się nam trafić na ulicę Jubilerską. W redakcji „Super Expressu” przyjęto nas bardzo serdecznie. Niestety, nie mogliśmy podziwiać prezentacji innych szkół (naszymi współzawodnikami były szkoły z województwa małopolskiego i zachodniopomorskiego) ani nawet kontaktować się z nimi. Nasz występ odbywał się jedynie przed jury, w skład którego wchodził: przedstawiciel Ministerstwa Edukacji Narodowej, przedstawicielka warszawskiego kuratorium, dwie redaktorki „Super Expressu”, pani z radia RMF FM. Występ udał się znakomicie i zadowolone z siebie wyszliśmy z sali. Fotoreporter zrobił dziewczętom pamiątkowe zdjęcie. Niespodziewanie jury poprosiło nas znów do sie-

bie. Tym razem nasze świątokrzyskie czarownice odważnie i mądrze odpowiadały na pytania jurorów. Poradziły sobie znakomicie, zwłaszcza że pytania były trudne, np. Dlaczego szkołę reprezentują tylko dziewczyny? Czy strój czarownic jest strojem obowiązującym w naszej szkole? Czy Cementownia „Ożarów” nie wpływa toksycznie na środowisko? Od kiedy w cementowni zainstalowane są elektrofiltre? W ostatniej wypowiedzi fachowej pomocy udzieliła uczennicom pani dyrektor.

Na koniec dziewczęta dostały pamiątkowe koszulki i długopisy.

Po tak wielkim wysiłku intelektualnym pani dyrektor ufundowała wszystkim smaczną pizzę.

Do Ożarowa wróciliśmy z przekonania,

że dałyśmy z siebie wszystko, ale nigdy przecież nie można przewidzieć gustów osób oceniających, a 11 października szkoła otrzymała telefoniczną wiadomość: JESTEŚMY „SUPERSZKOŁĄ”, najlepszą podstawówką w Polsce w miejscowościach do 50 tys. mieszkańców. Następnego dnia oficjalne wyniki ukazały się w „Super Expressie”. Lokalne gazety zaczęły drukować artykuły o sukcesie naszej szkoły. Uroczyste rozdanie nagród miało odbyć się 19 listopada 2001 r.

Organizatorzy zdecydowali, że na gali wręczenia nagród zwycięskie szkoły ponownie zaprezentują swój program. Pani Ewa Gumuła napisała kolejny wiersz opisujący nasze wrażenia z wyjazdu do Warszawy 3 października 2001 r. Wraz ze zdjęciami z wyprawy stanowią on treść drugiego numeru „Szkołnego Super Expressu”, opracowanego przeze mnie. Tekst tego wiersza deklamowały nasze wspaniałe dziewczęta: Weronika Dziewirz i Magdalena Lewkowicz.

Rozdanie nagród odbyło się w Warszawie w Pałacyku Ostrogskich, gdzie mieści się Muzeum F. Chopina. Na uroczystej gali swoje najpiękniejsze utwory zagrał i zaśpiewał Zbigniew Wodecki. Całość prowadzona była przez Grażynę Bukowską. Wszystkim laureatom dyplomy wręczali osobiście Ewa Jarosławska, redaktorka naczelna „Super Expressu”, marszałek Sejmu poprzedniej kadencji Maciej Płażyński (patronujący konkursowi) i Marlena Hadaś z Ministerstwa Edukacji Narodowej. Nagrodą dla każdej z sześciu szkół - laureatów był sprzęt do pracowni komputerowej o łącznej wartości 250 tys. zł ufundowany przez „Super Express”.

Wszystkie szkoły prezentowały się przed zebraną w pałacyku publicznością. My występowałyśmy jako ostatnie, ale wzbudziłyśmy największe zainteresowanie zebranych. Nasz program składał się z dwóch części: pierwsza - powtórka prezentacji z 3 października, i druga - nasze wrażenia z poprzedniego wyjazdu do Warszawy.

Kiedy zakończyła się już część oficjalna uroczystości, spotkałyśmy się z panią Haliną Machulską, żoną reżysera Juliusza Machulskiego, która obserwowała występujące dzieci. Po występach udzielała cennych fachowych wskazówek młodym artystom. Prezentacje każdej szkoły pani




DYPLOM

dla

Szkoły Podstawowej
w Zespole Szkół Ogólnokształcących
im. Edwarda Szyłki w Ożarowie

za zwycięstwo w konkursie
SUPER SZKOŁA 2001
w kategorii szkół podstawowych
w miejscowościach do 50 tys. mieszkańców



Redaktor Naczelny
„Super Expressu”
Ewa Jarosławska
Ewa Jarosławska

Warszawa, 19 listopada 2001 roku

Machulska szczegółowo opisywała w notatniku. Jakież było nasze zaskoczenie, gdy okazało się, że na stronie zatytułowanej „Szkoła Podstawowa z Ożarowa” nie ma żadnych zapisków. „Byłam tak zainteresowana waszym występem, że szkoda mi było czasu na notatki, żeby nie stracić nic z waszych popisów” - mówiła pani Machulska. Pochwaliła nasze małe artystki, a zwłaszcza Agnieszkę Majcher, której zapowiedziała pewną karierę aktorską. Zostawiłyśmy pani Machulskiej nasz adres i mamy nadzieję, że nawiążemy z nią współpracę.

Po rozdaniu dyplomów i zrobieniu pamiątkowych fotografii wszyscy udaliśmy się na poczęstunek.

Następnego dnia, 20 listopada, „Super Express” wydrukował artykuł z uroczystości rozdania nagród.

Nasza szkoła i ja sama jeszcze nie otrząsnęliśmy się z wrażenia. Teraz czekamy na nową 10-stanowiskową pracownię komputerową firmy Optimus. Będzie zainstalowana do końca grudnia. Zamierzamy uroczystie rozpocząć działalność tej pracowni. Może tym razem odwiedzi nas „Super Express” i opisie ożarowską SUPER-SZKOŁĘ.

Edyta Kielin
nauczyciel w Zespole Szkół Ogólnokształcących im. Edwarda Szyłki w Ożarowie

LEGIONOWY KAPELAN Z SOBÓTKI



Jednym z kapelanów I Brygady Legionów J. Piłsudskiego był ksiądz major Henryk Ciepichał, urodzony 18. 02. 1886 r. w Sobótce. Po uzyskaniu w 1911 r. matury w Krakowie, w 1914 r. ukończył

studium teologiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego i wstąpił do zakonu pijarów. Już wtedy związany był silnie z ruchem niepodległościowym. Po wybuchu I wojny światowej i powstaniu Legionów przez dłuższy czas starał się o przyjęcie do ich szeregów. Działania te utrudniały władze austriackie, prześladowały ks. Henryka Ciepichalla za wspomnianą aktywność polityczną. Ksiądz - pijar dołączył do I Brygady dopiero 20 czerwca 1915 r. Ojciec Kosma Lenczowski, słynny kapelan Brygady, tak wspomina ten fakt: „Kilka razy pisał do mnie o przyjęcie do Legionów. Zawsze odpisywałem, że przyjęcie możliwe, gdy się oddział powiększy. Nie czekając przyjechał prosto do Piłsudskiego, ofiarował mu ryngraf Matki Boskiej Wileńskiej, czym się Piłsudski ucieszył. Ks. Ciepichał przeznaczony do 1 pułku Rydzka-Śmigłego, ja zostałem przy drugim [pułku]”.

Ks. Ciepichał od chwili przybycia brał udział we wszystkich walkach Brygady, cały czas pozostając w linii. Jego przyjęcie do jednostki zbiegło się z rozpoczęciem nowej ofensywy państw centralnych. 23 czerwca 1915 r. I Brygada ruszyła spod Konar w kierunku na Wło-

stów - Stodoly - Bidziny - Ożarów - Tarłów. W toczonych na tych terenach walkach uczestniczył również nowy kapelan. Dalszy jego szlak bojowy prowadził przez Podlasie i dalej na wschód. Oprócz działalności duszpasterskiej wśród legionistów ks. Ciepichał organizował ją również dla ludności cywilnej. 16 sierpnia 1915 r. oddziały Brygady dotarły do miejscowości Wargule. Tego też dnia, korzystając z postoju, kapelan zorganizował dla żołnierzy i ludności miejscowej uroczystość patriotyczno-religijną. Była ona jakby zadośćuczynieniem za dawne krzywdy rosyjskie. Leżące w pobliżu sanktuarium maryjne w Leśnej Podlaskiej, zostało w wyniku represji po powstaniu styczniowym przekształcone w cerkiew prawosławną. Po uroczystości na odzyskanym kościele wmurowano tablicę, która głosiła, że został on „restytuowany przez kapelana wojsk polskich”.

Z postacią ks. Ciepichalla wiąże się także mniej znany epizod osobistego życia J. Piłsudskiego. 15 lipca 1899 r. przyszły komendant Legionów zawarł związek małżeński z Marią Juszkiewicz, która była wyznania ewangelicko-augsburskiego. Aby małżeństwo mogło dojść do skutku, pan młody musiał przyjąć wyznanie przyszłej żony. Po śmierci Marii J. Piłsudski ożenił się po raz drugi z Aleksandrą Szczerbińską, katoliczką. Planując już wcześniej ten fakt, musiał ponownie zmienić wyznanie. Uczynił to w czasie walk I wojny światowej na wschodnim froncie. Jak wspomina Aleksandra Piłsudska, powtórnego przyjęcia Komendanta do kościoła katolickiego dokonał właśnie ks. H. Ciepichał, sporządzając w warunkach polowych, atramentowym ołówkiem, na zwykłej kartce, prowizoryczny akt.

W wyniku tzw. kryzysu przysięgowego ks.

Ciepichał internowany został wraz z innymi legionistami w obozie, w Beniaminowie. Wspólnie z 10 innymi oficerami, uznanymi przez władze austriackie za najbardziej „niebezpiecznych”, pozostał w nim aż do końca jego istnienia. Na wolność wyszedł dopiero na początku listopada 1918 r., uwolniony przez Niemiecką Rewolucyjną Radę Żołnierską. W tym samym miesiącu został dziekanem wojsk Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej, który powstał w Lublinie pod przewodnictwem I. Daszyńskiego. Następnie pełnił funkcję dziekana Dowództwa Okręgu Generalnego w Lublinie oraz w czasie wojny polsko-bolszewickiej 7 Armii gen. G. Żygadłowicza.

W 1921 r. zrezygnował z duszpasterstwa wojskowego oraz, według nie potwierdzonych danych, porzucił również stan kapłański. Zmarł w 1934 r. Za udział w walkach legionowych oraz w wojnie polsko-bolszewickiej odznaczony był m.in. Krzyżem Virtuti Militari 5 Klasy, Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta 5 Klasy, Srebrnym Krzyżem Zasługi i Medalem Niepodległości. Posiadał także wiele odznak honorowych.

Przybliżona w niniejszym tekście sylwetka ks. Henryka Ciepichalla nie wyczerpuje tematu. Autor prosi osoby, które spotkały się z tym nazwiskiem w Sobótce, o dodatkowe informacje, szczególnie dotyczące jego najbliższej rodziny. Być może za pośrednictwem Redakcji „Ożarowa” uda się w szerszym stopniu poznać tę bardzo popularną w Legionach postać. Reprodukowane zdjęcie ks. Henryka Ciepichalla pochodzi z artykułu Sławomira Frątczaka pt. „Umundurowanie kapelanów wojska polskiego cz. I”, zamieszczonego w kwartalniku „Mundur i Broń” nr 4, s. 24.

Marek Lis

Z ARCHIWUM FOTOGRAFICZNEGO OZARÓW 1915

W związku z wrześniowym numerem „Ożarowa”, w dużej części poświęconym dzieciom żydowskiej społeczności miasta, pragnę zaprezentować unikalne zdjęcie sprzed lat, związane z tą tematyką. Negatyw zdjęcia zachował się w Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie. Publikowana odbitka pochodzi ze zbiorów Muzeum Historyczno-Archeologicznego w Ostrowcu Św. I prezentowana jest dzięki uprzejmości pracownika tegoż Muzeum, p. Marka Wójcickiego. Po raz pierwszy udostępniona była publicznie w 1998 r. na wystawie pt.: legiony Polskie na Kielecczyźnie 1914-1915, przygotowanej w Muzeum z okazji 80-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości.

Fotografia zrobiona została prawdopodobnie w lipcu 1915 r., na rynku w Ożarowie. Świadczą o tym ruiny miasta zniszczonego w czasie walk, toczonych pod koniec czerwca tegoż roku. Nie znamy autora zdjęcia, sądzić jednak można, że wykonał je jeden z fotografów towarzyszących legionistom J. Piłsudskiego (4 Pułkowi Piechoty Legionów?).

Nieodparcie nasuwa się w tym miejscu skojarzenie z opisem Ożarowa, który przytoczyłem w lipcowym numerze pisma. Przypomnijmy, że jego autorem był pisarz i naoczny świadek, Władysław Orkan, żołnierz 4 PP Leg. Pisał on m.in. ... Na placu szerszym, na kupie gruzów - grupa niewielka Żydów... Dłonie jak szpony koło kolan splecione. Tak siedzą... Na zdjęciu zwracają uwagę resztki drewnianej budowli (pochyłe belki wystające z ziemi). Może któryś ze starszych mieszkańców Ożarowa potrafi wyjaśnić jej pierwotne przeznaczenie?

Marek Lis



STRAŻACKIE SZPALTY



POŻEGNANIE Z DRUŻYNĄ

W niedzielne popołudnie 9 września przybyli do Jankowic strażacy z całej gminy, zaproszeni przez zarząd miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej. Bezpośrednim powodem spotkania było zakończenie remontu strażnicy tutejszej jednostki oraz uporządkowania i zagospodarowania otaczającego terenu.



Jednostki OSP na czele z orkiestrą zebrały się w przeciwnym końcu wioski, a następnie przemaszerowały na plac strażacki, gdzie obecni już byli zaproszeni goście: Starosta Opatowski i jednocześnie Prezes Zarządu Powiatowego Związku OSP RP, pan Kazimierz Kotowski, burmistrz Ożarowa pan Marcin Majcher, działacz ludowy z Ożarowa pan Stanisław Podlowski, dyrektor miejscowej szkoły, pani Jadwiga Witek. Uroczystość rozpoczęła się raportem przyjętym przez starostę, wciągnięciem flagi państwowej na maszt i odegraniem hymnu. Otwarcia uroczystości i powitania gości, przybyłych strażaków, mieszkańców i licznie zebraną publiczność dokonał prezes OSP w Jankowicach, druh Witold Łukasiewicz. On również odczytał okolicznościowy referat na temat historii Ochotniczej Straży Pożarnej w Jankowicach, założonej w roku 1928.

Wręczone zostały odznaczenia pożarnicze. Złote Medale za zasługi dla pożarnictwa otrzymali: Stanisław Kaptur i Bolesław Otręba. Medale Srebrne otrzymali: Jarosław Chaja, Mirosław Czechowski, Józef Fuszara.

Medale Brązowe otrzymali: Marcin Ceglarski, Witold Łukasiewicz, Piotr Otręba. Odznakę Wzorowego Strażaka otrzymali: Krzysztof Kaptur, Przemysław Mazurkiewicz, Paweł Stępień, Tomasz Perchlicki i Piotr Wiśniewski. Najstarsi druhowie z Jankowic otrzymali odznaki za wysługę lat. Stanisław Saracen i Franciszek Czajkowski - odznakę 65 lat, Michał Chaja - odznakę 55 lat, Marian Fryc - odznakę 35 lat, Władysław Chaja, Stanisław Durda, Andrzej Saracen - odznakę 30 lat, Stanisław Stępień - odznakę 15 lat.

Kolejnym punktem imprezy było pożegnanie Młodzieżowej Drużyny Pożarniczej, która przestała istnieć w związku z likwidacją Szkoły Podstawowej w Jankowicach. Szkoda tej drużyny, ponieważ zni-



Starosta wręcza medal
Jadwidze Witek dyrektor
SP w Jankowicach

ka ważny punkt pożarniczego wychowania dzieci, jakim była szkoła w Jankowicach. To drużyny z tej szkoły kilkakrotnie z powodzeniem reprezentowały naszą gminę w zawodach powiatowych i wojewódzkich. To wychowanek tutejszej drużyny pożarniczej, Michał Mizera, w roku 2001 doszedł do finału eliminacji krajowych OTWP. Twórcą tych sukcesów bezsprzecznie była dyrektor szkoły, pani Jadwiga Witek. Jej to właśnie za społeczne zaangażowanie podziękowania skierowali starosta i burmistrz, wręczając medal za zasługi dla pożarnictwa, okolicznościowy list od Prezesa Zarządu Głównego Związku OSP RP i pamiątkową paterę. Dla druhów zasłużonych w pracy z młodzieżą wręczono złote odznaki „Drużyna Młodzieżowa”. Otrzymali je Marian Fryc z Jankowic, Janusz Wrona z Suchodółki, Włodzimierz Wróbel z Sobótki.

Następnie dokonano uroczystego otwarcia świetlicy OSP, gdzie zgromadzony został dorobek Młodzieżowej Drużyny Pożarniczej, przeniesiony z byłej szkoły, oraz pamiątki Ochotniczej Straży Pożarnej w postaci dyplomów, pucharów, proporczyków, plakatów oraz pamiątkowych tablic obrazujących strażacką historię Jankowic.

Wszyscy uczestnicy imprezy mogli również podziwiać wieńce dożynkowe, ustawione przed trybuną honorową, a przywiezione przez jednostki OSP z Prus, Jakubowic, Suchodółki, Sobótki. Dziś zanika tradycja dożynek jako obrzędu plenerowego, nie bardzo ma je kto organizować. Strażacy próbują podtrzymać charakter tego starego święta plonów, na razie w formie symbolicznej.

Ostatnim akordem imprezy był turniej sportowy dla zarządów OSP, których jednostki uczestniczyły w imprezie. Drużyny startowały w 3-osobowych zespołach, w skład których wchodził prezes i naczelniczy OSP. W programie turnieju był konkurs strzelecki piłką nożną do ustawionej bramki. Najwyższą celnością wykazała się drużyna z Suchodółki przed Jankowicami.

Wiesław Chmielewski

KARTKI ZE ŚWIATA

WSPOMNIENIA Z WYPRAWY DO HISPANII CZ. I

Wraz z początkiem września tego roku, ja i grupa moich przyjaciół, wybraliśmy się w od dawna planowaną podróż do Hiszpanii. Jednak nie miała to być Hiszpania, jaką znają uczestnicy zorganizowanych wycieczek, będących w ofercie biur podróży. Nas interesowały jedynie górskie rejony tego kraju, a ponieważ większość z nas to geolodzy, tak więc szczególnie interesowały nas miejsca, w których mogliśmy znaleźć ciekawe i rzadkie formy minerałów.

Z naszym szczególnym zainteresowaniem spotkały się trzy masywy górskie. Były to jedne z najwyższych gór w Europie. Pireneje oraz nieco niższe Góry Kantabryjskie i Góry Iberyjskie. Niżej postaram się zrelacjonować pierwszą część naszej wyprawy, która obejmowała masyw Pirenejów.

W samych górach zjawiliśmy się po czterech dniach podróży wynajętym autobusem. Trasa naszego przejazdu przebiegała przez południowe Niemcy, we Francji Wozezy koło Strasbourga, Masyw Centralny, aż w końcu wylądowaliśmy w niewielkim miasteczku San Lourien, gdzie zakupiliśmy mapy, aby zaplanować dalszą część podróży. Po pospiesznym wyjeździe miasteczko to stało się nieoczekiwane naszym miejscem noclegowym. Okazało się, że na niewielkim skrzyżowaniu pomyliliśmy drogi i zamiast pojechać tunelem do Hiszpanii, wylądowaliśmy wysoko w górach (ponad 2500 m n.p.m.) na niewielkiej przełęczy, na której zabrakło nam paliwa. Na szczęście mijający nas Francuzi, okazali się bardzo chętni do pomocy. Pomimo tego że nie chcieli nam zaferować własnego paliwa, to jednak zgodzili się zwieźć nas na dół do miasteczka, abyśmy mogli zorganizować sobie pomoc. Na szczęście kilka kilometrów w dół, w niewielkiej dolinie, natknęliśmy się na obóz szkoleniowy wojsk belgijskich. Po krótkiej rozmowie z komendantem obozu (lekką wstawionym) ponownie jechaliśmy w górę z 10 litrami popularnej „ropy”. Po takiej dawce dodatkowego zasilania nasz samochód z ochotą zjechał w dół, gdzie na niewielkim campingu przenocowaliśmy z nadzieją, że może w końcu jutro zobaczymy Hiszpanię.

I stało się. Następnego dnia, w słonecznym poranku, dotarliśmy do długiego na 5,3 km tunelu de Bielsa, za którym przywitała nas hiszpańska część Pirenejów. Całkiem odmienna od tych, jakie widzieliśmy we Francji. Przede wszystkim temperatura powietrza. Pomimo tego że był początek września, tam w cieńszej temperaturze nie spadała poniżej 30° C (we Francji z trudem osiągała 20° C), zupełnie bezchmurne niebo i wręcz fantastyczne formy wietrzeń. Wszystko to sprawiło, że jak najszybciej chcieliśmy dotrzeć na miejsce i rozpocząć wspinaczkę w rejonie najwyższego szczytu tych gór, Pico Aneto (3404 m n.p.m.). Po krótkim postoju w Benasgre wieczorem znaleźliśmy się prawie na miejscu. Ponieważ nie chcieliśmy płacić za następny camping, więc zjechaliśmy na znajdujące się niżej pastwiska. Tam przywitani nas tamtejsi pasterze owiec. Jednego z nich szczególnie zapamiętałem. Miał na imię Alfredo i był niskim, krępy i ogorzałym od wiatru i słońca mężczyzną (około 50 lat), okazało się że jest Katalończykiem i mówi tak dziwnym dialektem języka hiszpańskiego, że z trudem mogliśmy go zrozumieć. Jednak pewne gesty wyrażające uprzejmość są tak oczywiste, że można je odczytać na całym świecie bez względu na to, kim się jest. To przełamało pierwsze lody i dalsza rozmowa poszła już gładko. Alfredo zgodził się, abyśmy przenocowali na jego pastwisku, z jego owcami, za co my zaprosiliśmy go do wspólnej kolacji. Nie wiadomo, dlaczego nie skorzystał z naszej propozycji, szkoda. Ten energicznie gestykulujący i szybko mówiący Katalończyk wydawał się naprawdę ciekawym człowiekiem. My następnego dnia skoro świt wyruszyliśmy, już pieczo, na naszą pirenejską wspinaczkę.

Każdy z nas zabrał ze sobą minimum rzeczy osobistych, tak aby zminimalizować ciężar plecaków, który w górnej mierze stanowiło jedzenie i sprzęt obozowy. Wyjątkiem były dwie koleżanki, Kaśka i Agnieszka, których połowę wagi plecaka stanowiły kosmetyczki i ubrania (ach, te kobiety!). Nasze początkowe tempo marszu było powolne, wręcz żółwie. Nie byliśmy jeszcze wprawieni, a poza tym wysoka temperatura i trudne warunki terenowe nie ułatwiały nam marszu. Po kilku godzinach treningu w otoczeniu surowych skał, bez jakichkolwiek oznak roślinności, dotarliśmy do niewielkiego wypłaszczenia w wysoko położonej dolinie z malowniczym jeziorem polodowcowym. Spodobało nam się to miejsce do tego stopnia, że postanowiliśmy założyć tam obóz, a wiszące nad naszymi głowami lodowce masywu de Maladeta (2865 m n.p.m.), zdobyliśmy „lekką”. Pireneje to bardzo zwodnicze góry. Przekonaliśmy się o tym już podczas tego podejścia pod lodowiec. Droga, którą oceniliśmy z dołu na około 1h, trwała ponad 3,5 h. Krystalicznie czyste powietrze i brak jakiegokolwiek skałi porównawczej do odległości (brak drzew) powodowało, że stale mieliśmy problemy z prawidłowym określeniem dystansu i czasu jego pokonania.

Trud jednak się opłacał. Po znalezieniu się na polu lodowcowym Glaciera de Maladeta (ok. 2600 m n.p.m.) naszym oczom ukazał się zapierający dech w piersiach widok. Poza

tym wrażenie, jakie odnosi się podczas przebywania na lodowcu, jest tak niesamowite, że wywołało w nas poczucie pokory i lęku przed tymi surowymi górami. Cały czas dochodziły do naszych uszu odgłosy spadających fragmentów moreny i pękającego, topniejącego lodu. Poza tymi dźwiękami panowała dookoła głucha cisza. Przepięknie.

Po szybkim zejściu znaleźliśmy się w obozie, w którym już panował przenikliwy chłód (w Pirenejach słońce zachodziło bardzo szybko i wcześniej, a zaraz po tym temperatura szybko spadała do ok. 0° C). Cała nasza ośmioosobowa grupa wiedziała, że ta noc nie będzie należała do najcieplejszych. Nie myliliśmy się. W nocy temperatura spadła tak nisko, że zamarzała nam woda w menażkach, namiot i cała polana pokryła się szronem, a zakładając buty, miałem wrażenie, że założyłem dwie lodówki na stopy. Jednak po mroźnym poranku przyszedł kolejny upalny dzień naszej wędrówki. Było tak nieznacznie gorąco, a trasa marszu była tak wyczerpująca, że po całym dniu zmagania z górami niektórzy z nas nie czuli się najlepiej. Wielu z nas dostało udaru słonecznego, co poważnie postawiło w wątpliwość dalsze bezpieczeństwo naszej wyprawy. Noc okazała się jeszcze gorsza i rano jedynie trzy osoby (dwie Katarzyny i ja) miały na tyle siły, aby zmierzyć się z najwyższą górą w Pirenejach. Pozostała część wyprawy musiała zrezygnować ze wspinaczki i próbować dojść do zdrowia, odpoczywając w obozie.

Nasza trójka po krótkiej naradzie szybko ruszyła w górę po to, aby wspiąć się jak najwyżej na Pico Aneto. Na wejście na sam szczyt nie mieliśmy szans, ponieważ partia szczytowa to ok. 200 m pionowej, granitowej ściany, której sforsowanie, bez specjalistycznego sprzętu alpinistycznego, nie było możliwe. Po długich godzinach intensywnego treningu udało się nam dotrzeć do skraju drugiego pola lodowcowego Glaciera de Aneto, na wysokość ok. 3150 m n.p.m. Szybka wspinaczka na takich wysokościach jest już dosyć ryzykowna ze względu na niskie ciśnienie i bliską granicę minimum tlenowego. Sami odczuwaliśmy to dość dotkliwie, mając stałe problemy z oddechem. Szybkie zmiany wysokości bez okresów aklimatyzacji spowodowały zaistnienie ryzyka wystąpienia u nas choroby wysokościowej. W wielu przypadkach jej skutki są tragiczne.

Nie chcąc dalej ryzykować, postanowiliśmy po niewielkim posiłku rozpocząć schodzenie do naszego obozu. Jednak ten, kto choć trochę chodził po górach, wie, że schodzenie to sztuka o wiele trudniejsza od wchodzenia. Sam się o tym przekonałem po raz wtóry, kiedy to schodziłem z pionowej ściany.

Na szczęście wszystko dobrze się skończyło i tuż przed zachodem słońca, wyczerpani, przybyliśmy do obozu. Tam już czekał na nas ciepły posiłek i kolejna mroźna noc.

Następnego dnia wszyscy czuli się na tyle dobrze, że mogliśmy wyruszyć dalej. Kierowaliśmy się ku miejscu, gdzie był zaparkowany nasz samochód. Ale o tym, co było dalej, napiszę w następnym numerze „Ozarowa”.

Michał Jastrzębski

JANOPOL

SOŁTYSA GŁOSEM O JANOPOLU



Marian Grudnik - sołtys wsi Janopol; lat 42, technik mechanizacji rolnictwa, prowadzi firmę transportową oraz gospodarstwo rolne 8-hektarowe.

Janopol to wieś mała, położona w północnej części

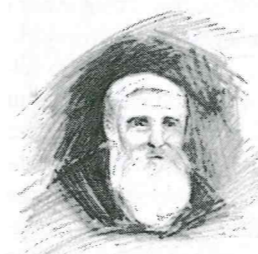
gminy, złożona z trzech wyraźnie oddzielonych części: Janopola Starego, Janopola Nowego i Piotrowa. Wieś składa się z drobnych gospodarstw. Niewielu jest typowych rolników, gdyż większość mieszkańców to renciści i emeryci. Coraz częściej spotyka się tutaj opuszczone gospodarstwa. Nie ma co się dziwić. U nas cywilizacyjnie żyje się trudno, gdyż nie ma pełnej infrastruktury. Naszym nieszczęściem jest układ wsi - duże rozproszenie gospodarstw. Choć Janopol jest powierzchniowo rozległy, to nie ma dużo zagrod, które poza tym są rozrzucone. Dotkliwym mankamentem jest brak dobrych dróg. Na szczęście obecnie, dzięki pomocy

władz gminnych, sytuacja uległa poprawie. Polepszona jest droga Czachów - Janopol - Piotrow - Lasocin. Ostatnio też pojawiło się oświetlenie uliczne - również pomogła gmina. Mamy też wodociąg. Nie kwapimy się do budowy gazociągu i linii telefonicznej, gdyż gaz jest drogi, a telefony komórkowe wyparty telefonizację wsi.

Choć wielu moich rówieśników odeszło z Janopola, to ja pozostałem. Chciałbym, żeby ta moja wieś trwała nadal i rozwijała się. Chodzi o to, żeby ludzie z zewnątrz nie wpadali na chwilę, ale żeby zaczęli osiedlać się na stałe. Mamy jednak w przewadze dobre ziemie. Oddalenie od głównych szos i większych skupisk ludności ma też i swoje dobre strony. Naszym atutem jest spokój, dużo zieleni, sady i lasy wokół. Być może staniemy się miejscowością agroturystyczną. Niektórzy stąd się wywodzący zaczęli wakacyjnie pracować. Może ktoś zainteresuje się naszymi pokładami gliny, która nadaje się na produkcję cegły. Zresztą kiedyś była u nas cegielnia. Zapraszam zatem interesantów z branży budowlanej.

Spisał J.M.

SADOWNICTWO W JANOPOLU



Jan Kamiński, założyciel Janopola - rys. Nora Czuba

W Janopolu gleby są zróżnicowane. Najlepsze - między Chłopskim Lasem a Lasem Janopolskim. Trzeciej i czwartej klasy, gleby płowe. Na nich właśnie inżynier Jan Kamiński, absolwent Wyższej Szkoły Ogrodnictwa w Poznaniu i Wydziału Rolniczego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, zapoczątkował sadownictwo w Janopolu.

Co prawda jego dziadek Jan Kamiński, założyciel Janopola, posadził pod koniec XIXw., ponad półhektarowy sad, z wieloma gatunkami. Właściwie wszystkie drzewa owocowe, które udawały się w naszym klimacie. Wybudował nawet specjalny mur osłonowy z białego wapienia, na którym podpierała się winorośl. Prowadził bowiem własną winnicę. Sam produkował wino i nalewki. U Kamińskich w piwniczce sklepionej zawsze leżało wyborne wino. Zresztą nie za długo, bo dziedzic Janopola był człowiekiem gościnnym i wino szybko znikało. Niestety, sad po śmierci właściciela zmarł śmiercią naturalną. Dopiero jego

wnuk, również Jan Kamiński, ale z dyplomem ogrodnika, wrócił w Janopolu do sadownictwa. Założył w latach 40. z prawdziwego zdarzenia nowy sad jabłoniowy na trzech hektarach, raczej na słabszych już glebach. Przede wszystkim hodował landsberską, boskop, antonówkę, papierówkę, złotą renetę. Wtedy czolowe odmiany.

Minęło kilkadziesiąt lat i sad się postarzał wraz z gospodarzem. Na progu lat 80. przyszedł nowy gospodarz, siostrzeniec Jacek Potocki, absolwent Technikum Rolniczego w Mokoszyńcu i Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie, wtedy oficer zatrudniony w Ośrodku Badań Uzbrojenia w Stalowej Woli, testujący amunicję i sprzęt uzbrojenia. Do Janopola zaglądał w dni wolne od służby, doglądał, jak drzewa rosną w sadzie. Korzystna koniunktura w sadownictwie przynosiła dochody i nowy ogrodnik coraz bardziej przekonywał się, że lepiej zrywać jabłka, niż strzelać na poligonie z łuf artyleryjskich. W 1986r. okazało się, że powinien wyboru dokonać wcześniej i wrócić na łono natury. Choroba serca zmusiła podpułkownika Jacka Potockiego



Jacek Potocki

SPOKOJNA WIEŚ

O JANOPOLU MÓWI BURMISTRZ MARCIN MAJCHER

Mała, ale bardzo malownicza miejscowość, poszczególne zagrody wtulone w leśny krajobraz.

Powstanie ściśle związane jest z historią niektórych rodów do dziś tam mieszkających.

Obecnie gwałtownie wyludniona wieś, choć kiedyś tętniła życiem, produkowała tu nawet cegielnia w oparciu o rodzimy surowiec. Słabe gleby nie były w stanie wyżywić jej mieszkańców, brak dróg oraz innych zdobyczy cywilizacyjnych doprowadziły do migracji do miast mieszkańców tej osady.

Obecnie kilka domów rozrzuconych drzemie spokojnie, wabiąc położeniem miłośników przyrody.

W ostatnich latach poprawiono stan dróg, co ułatwia mieszkańcom komunikację, ale zima z dużymi opadami śnieżnymi sprawia, że trudno jest komunikować się z poszczególnymi gospodarstwami.

J.M.

do wcześniejszego zakończenia kariery wojskowej. Na szczęście 45-letni rencista miał co robić. Wrócił do pierwotnego zawodu. Zajął się całkowicie sadownictwem w Janopolu. Dziś gospodaruje na 20-hektarowym gospodarstwie, w tym 15 hektarów sadu. Dominują jabłonie, wiśnie, brzoskwinie i nieco śliw. Choć sadownictwo dzisiaj już nie jest tak intratne jak kilkanaście lat temu, to i tak lepiej sadić drzewa, niż siać zboża.

W Janopolu nie tylko Kamiński zajmował się sadownictwem. Zapoczątkował on, ale inni właściciele gruntów również założyli w Janopolu planacje wiśni i śliw. Henryk Grudnik z Ozarowa, Bogusław Gawelek ze Starachowic, Marta Szewczyk z Radomia. Nazwiska co prawda inne, ale wszyscy mają korzenie rodu Kamińskich.

Współczesny Janopol południowy jest dziwną wsią. Stałych mieszkańców można policzyć na palcach obu rąk. W ośmiu zagrodach mieszka zaledwie 10 osób. W wakacje natomiast liczba mieszkańców wielokrotnie. Przyjeżdżają nie tylko na wypoczynek, ale do sezonowego prowadzenia gospodarstw. Nie jedynie materialne względy przyciągają tu ludzi - zresztą, jak mówi Jacek Potocki, rolnictwo to coraz gorszy biznes - ale przede wszystkim więzy rodzinne. Przybysze przecież to jedna wielka rodzina, potomkowie założyciela Janopola Jana Kamińskiego, dodaje Anna Potocka. Ostatnim potomkiem założyciela Janopola po mieczu jest inżynier Jan Kamiński. Natomiast więcej stałych mieszkańców mieszka w Janopolu północnym - choć i ten się wyludnia.

J. Myjak

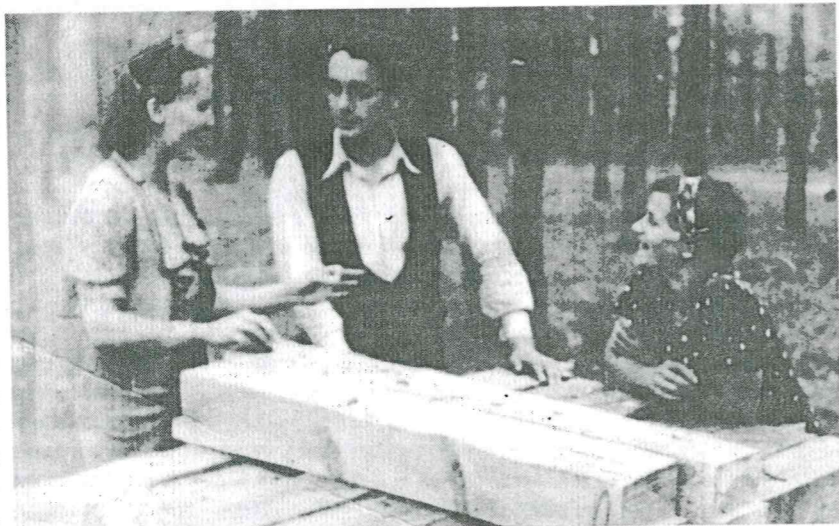
JANOPOL

DLACZEGO ZGINĄŁ MARKIEWICZ?

W popularnym spojrzeniu na okupację hitlerowską w Polsce wciąż dominują stereotypy i nadal nie mamy obiektywnego opisu tamtych trudnych sześciu lat. Jednoznacznej ocenie nie chce poddać się ruch oporu, partyzantka, relacje między poszczególnymi orientacjami politycznymi. Dzieje okupacyjne, również na terenie gminy Ożarów, wywołują wciąż spore kontrowersje i oceny. Dawniej brak obiektywizmu w opisie i ocenie ruchu oporu spowodowany był cenzurą. Dziś, gdy jej nie ma, nadal niewiele się wyjaśniło. Może tylko Narodowe Siły Zbrojne zyskały status równoprawnej organizacji kombatanckiej, a jej sztandary podczas świąt stają w pocztach obok innych. Do pełnego i obiektywnego jednak obrazu okupacyjnej rzeczywistości droga jeszcze daleka.

Gdy wnikiemy w historię ruchu oporu, okaże się, że nie był on jednolity, że targaly nim konflikty, spory ideologiczne, polityczne, a nawet dochodziło do zakamuflowanej, bądź jawnej walki zbrojnej. Do wrogości między skrajnie prawicowym NSZ a skrajnie lewicową Gwardią Ludową jesteśmy przyzwyczajeni. Iskrzyło jednak pomiędzy Armią Krajową a Batalionami Chłopskimi. Dowództwo AK chciało całkowitego podporządkowania BCH, na co radykalni ludowcy nie bardzo chcieli się zgodzić. Dochodziło na tym tle do konfliktów, nawet potyczek i mordów. Zapewne nigdy do końca nie zostanie wyjaśniona przyczyna śmierci Stanisława Markiewicza, pseudonim „Włast”, młodego działacza ludowego z Janopola.

Pochodził on z rodu Kamieńskich. Matka jego, Helena Kamieńska, córka Higina, wyszła za mąż za Jana Markiewicza z Lasocina. Ich syn, Stanisław, przyszedł na świat 7 lipca 1916 r. Dzieciństwo spędził w Janopolu. Ukończył gimnazjum w Sandomierzu, a po maturze wstąpił do Szkoły Podchorążych Artylerii. Uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 r. Dostał się do niewoli radzieckiej, ale zdołał z niej uciec. Po powrocie w rodzinne strony związał się z konspiracyjnym ruchem chłopskim. Jeszcze przed wojną organizował w Opatowskim koła Związku Młodzieży Wiejskiej RP. Od 1940 r. w Batalionach Chłopskich. Rzutki i skuteczny konspirator, organizator placówek BCH. Niektórzy mówili, że nader śmiały. Początkowo był komendantem gminnym BCH, następnie komendantem pierwszego rejonu BCH „Powiśle”, a od sierpnia 1941 r. komendant obwodu sandomierskiego. Na początku grudnia 1941 r. został aresztowany przez gra-



natowych policjantów i doprowadzony na posterunek policji do sąsiadującego z Janopolem Lasocina. Tu miał spędzić pod strażą noc, a następnego dnia policjanci chcieli go doprowadzić do niemieckiej placówki w Opatowie. Markiewicza pilnowało dwóch policjantów. Aresztowany, pobyt w zamknięciu wykorzystał na przygotowanie ucieczki. Najpierw próbował uciec przez komin. Dlatego też zaczął rozbierać piec kaflowy. Jednak nie udało mu się wydostać tą drogą. Spróbował więc dokonać tego rankiem 7 grudnia, ale innym sposobem. Prosił komendanta posterunku, żeby pozwolił mu skorzystać z podwórzowego ustępu. Poszedł tam w towarzystwie policjanta. Zabrał ze sobą kafelek, który ukrył pod kurtką. Kiedy wszedł do środka ustępu, strażnik stanął przed drzwiami. Markiewicz próbował odgiąć deski i wydostać się na tyły policyjnego podwórka. Znowu mu się nie udało. Zdesperowany pchnął drzwi i wyskoczył na podwórze. Chciał uderzyć kafełkiem policjanta. W tym momencie padł strzał z okna budynku posterunku. Strzelił obserwujący całe zdarzenie drugi policjant. Strzał okazał się niezwykle skuteczny. Pocisk przeszył na wylot policjanta i dopadł Markiewicza. Ten pierwszy zginął na miejscu - znalazł się

po prostu na linii strzału. Drugi został śmiertelnie ranny. Zdołał dotrzeć do ogrodzenia i tu skończył na sztachetach.

Taką relację z faktów przekazali miejscowi. Niektórzy podają inne szczegóły tych tragicznych wydarzeń. Skutek w każdym wariancie jest oczywiście taki sam. Młody Markiewicz został zastrzelony na posterunku policji w Lasocinie. Martwego partyzanta oglądali mieszkańcy Lasocina i Janopola. Różnie interpretowano później przyczynę śmierci. Niektórzy sugerują, iż było to świadome zabójstwo dokonane przez policjantów, którzy równocześnie byli członkami, bądź tajnymi współpracownikami Armii Krajowej. Inni, że to tragiczny zbieg okoliczności. Odruchowy i celny strzał policjanta, który zakodowane miał w podświadomości reakcję na tego typu zachowania aresztowanego. Jeżeli planował zastrzelenie Markiewicza, to dlaczego zabił swojego kolegę? Świadomie nie mógł tego zrobić. Dowództwo BCH z regionu nie miało złudzeń. Uznało to za prowokację. Po latach komendant BCH obwodu opatowskiego, Władysław Zwiejski, „Jaruga”, w książce „Walczyli w Chłopskich Batalionach - z dziejów podziemnego ruchu ludowego w obwodzie opatowskim 1939-1944”, wydanej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą w 1964 r., nie pozostawia wątpliwości co do oceny tego zdarzenia. Píše:

„... Wiele ciężkich strat poniesionych z rąk okupanta przez BCH w powiecie opatowskim opinia publiczna łączyła i łączy z faktem organizacyjnych wpływów ZWZ, a potem AK w polskim aparacie policyjnym okupanta. Można tu wspomnieć śmierć Stanisława Markiewicza „Własta” z Janopola - pierwszego komendanta rejonu BCH „Powiśle”, a następnie komendanta BCH obwodu sandomierskiego. Został on aresztowany pod zarzutem uprawiania rabunków przez policjantów granatowych, członków ZWZ, z posterunku w Lasocinie i przez nich zastrzelony...”

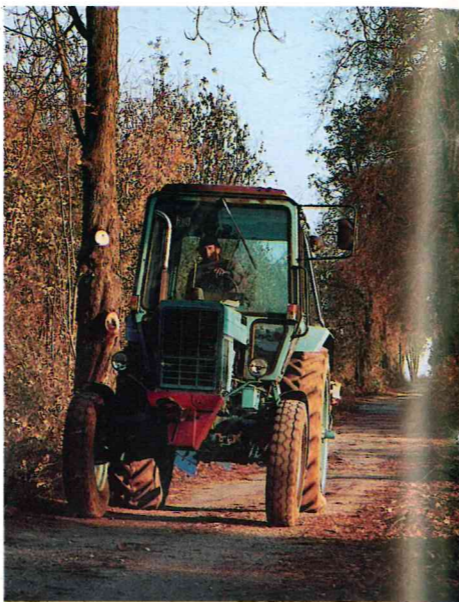
Na śmierci Stanisława nie skończył się okupacyjny dramat w rodzinie Markiewiczów. Wkrótce zostały aresztowane dwie siostry Stanisława. 8 grudnia 1941 r. Helena i Maria, łączniczki BCH, zostały aresztowane i wywiezione do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Udało im się przeżyć koszmarną więźniarę i szczęśliwie wrócić do rodzinnego domu w Janopolu. Przeżycia obozowe jednak zostawiły trwałe ślady.

J. Myjak



JANOPOL





JANOPOL

Wieś powstała wśród wytrzebionych lasów w połowie XIX w. opodal Lasocina. Jednak znalezione tu narzędzia, przede wszystkim siekierki, z kamienia pasiastego, nakrapianego i z brązu świadczą o bytności człowieka już w neolicie i epoce brązu, a więc około 4.5 tysiąca lat temu. Trudno pisać o dalszych losach pramieszkańców Janopola.

Z dokumentu XVI-wiecznego dowiadujemy się, że pola Lasocina dochodziły do Piotrowej Niwy, z której wyłonił się Piotrów, ongiś samodzielna wieś, dziś część Janopola. W połowie XIX w. zamożny mieszkaniec Lasocina, Jan Kamiński, kupił około 360 morgów ziemi z trzech źródeł, czyli od trzech sąsiadujących ze sobą majątków ziemskich nabył spore połacie gruntu. Po połączeniu powstał nowy organizm gospodarczy - folwark, w którym dominowały jeszcze lasy, ale stopniowo ustępowały miejsca polom uprawnym.

Zapewne Janopol to nazwa pamiątkowa, dzierżawcza od imienia założyciela pierwszego właściciela wsi, Jana, dwuczłonowa nazwa z obcym dodatkiem „pol”. Pojawiła się już w 1895r. w spisie miejscowości guberni radomskiej jako folwark będący własnością Jana Kamińskiego. Miał wtedy dwa domy murowane, w których mieszkały 23 osoby. Sąsiedni Piotrów, należący wtedy do parafii w Lasocinie (Janopol należał do Ożarów), był kolonią z trzema domami drewnianymi, zamieszkałymi przez siedem osób.

Z biegiem czasu te dwie osady rozrastały się i powiększały: grunty orne kosztem lasu, liczbą gospodarstw i mieszkańców. Jan Kamiński miał sporą gromadkę dzieci, którą musiał wywianować, ale miał też świadomość, że nadmierne roz-

drabnianie gospodarstwa nie jest zbyt korzystne. Dlatego też starał się dokupywać ziemię i karczować lasy. Swoje dzieci osadzał na terenach południowych folwarku, gdzie z biegiem czasu powstał Janopol Nowy, w odróżnieniu od Janopola Starego, w którym mieściła się zagroda typu dworskiego, należąca do seniora rodu. Dlatego też możemy mówić o rodowej wsi. Kolejne pokolenia powiększały liczbę ludności i gospodarstw Janopola, ale zmniejszały areal. Mimo prywatności, wsi nie omijały wydarzenia historyczne. Z powstaniem styczniowym związany był Jan Kamiński, w lesie którego znaleziono w latach międzywojennych broń i pieniądze Pułku Kosynierów Łżeckich. Podczas I wojny światowej wojsko rosyjskie wykopło na brzegu lasu okopy. Następna wojna zaznaczyła się udziałem janopolan w wojnie obronnej we wrześniu 1939 r., partyzantce różnych orientacji politycznych (AK, BCH i NSZ) oraz wysiedleniami.

Po wojnie Janopol, bez dobrych połączeń drogowych, zapóźniony infrastrukturalnie, stopniowo się wyludniał. Niekorzystne procesy demograficzne nasiliły się w latach 90. W 1993 Janopol (wraz z Piotrowem) liczył 60 osób, w pięć lat później 45 osób, a w listopadzie 2001 r. - 38 mieszkańców. Dziś w tej wsi większość mieszkańców to potomkowie Jana Kamińskiego, choć jedynym i ostatnim z rodu w linii męskiej jest inżynier rolnik Jan Kamiński. Współczesny Janopol widzi swoją szansę w ogrodnictwie i agroturystyce - warunki ma do tego dobre: spokój i leśną otulinę.



JANOPOL

Z PRZEWODNIKIEM PO JANOPOLU

Znajdujemy się w miejscowości Janopol. Jest to moja rodzinna wioska położona na trasie Czachów-Lasocin, należąca do gminy Ożarów. Historia jej sięga wieku XIX. Została założona przez mojego prapradziadka Jana Kamińskiego w 1858 roku. Obecnie liczy 47 mieszkańców i jest podzielona na dwie dzielnice: Janopol Stary, w którym mieszkam ja i moja rodzina, oraz Kolonię Janopol.

Zbliżamy się do środka wioski. Po lewej stronie, gdzie przeszło 100 lat temu był sad, zachowały się do tej pory zabytkowe ule. Prapradziadek posiadał bardzo dużą pasiekę pszczoł liczącą ponad 700 uli. Miód przelewany był w dębowe beczki i odsyłany poza granice kraju. Nieopodal w głębi znajduje się zabytkowa winiarnia z 1872 roku, w której przechowywano wino własnej produkcji.

Po przeciwległej stronie winiarni widać części parkanu, za którym niegdyś rozpościerały się ogromne plantacje różnorodnych gatunków winogron i innych winorośli, służących do wyrobu wina. Obok na murze wisi zabytkowa kapliczka - ołtarzyk, poświęcona pamięci Najświętszej Maryi Pannie. Wykonana jest ona z drewna i li-



Postaram się przekazać Pani wiadomości o historii tej wioski. Zapraszam na krótki spacer po Janopolu. Miejscowość ta z jednej strony otoczona jest polami uprawnymi, z drugiej strony lasem, do którego właśnie się zbliżamy. Był on kiedyś parkiem posiadłości majątku Jana Kamińskiego która liczyła około 180 hektarów. Właściciel sprowadzał tu piękne, ozdobne drzewa i krzewy nawet z Włoch. W chwili obecnej znajduje się tu las mieszany, jedynie wiąz przypomina dawne czasy. Po prawej stronie drogi widnieją zabytkowe lipy liczące po 140 lat. Niektóre są już spróchniałe, ale wciąż jeszcze służą cieniem przechodniom w upalne lata. Po lewej stronie dawnego parku rozpościerają się ruiny dworku zamieszkałego niegdyś przez właściciela tu-tejszej wioski. Tutaj w podziemiach znajdują się piwnice, będące schronem dla partyzantów w czasie okupacji. Po przeciwległej stronie widać szczątki dawnych spichlerzy, w których przechowywano zboże. Dzisiaj powstały tu nowe domy.

czy ponad 107 lat. Ołtarzyk ten został przywieziony przez zięcia Jana Kamińskiego z majątku Borzymówka od właściciela Alexandra Pejsta w pow. sochaczewskim, gmina Kozłów Biskupi. Matka Boża miała strzec wszystkich przed chorobą, jaka panowała w tamtych czasach - tyfusem.

Powoli zbliżamy się do końca parkanu. Nieopodal znajduje się studnia z 1859 roku, obecnie odnowiona. Do dzisiejszego czasu zachowało się jedno z koryt kamiennych, służące prapradziadkowi jako poidło dla bydła i koni.

Naprzeciwko zabytkowej studni, gdzie teraz stoją nowe domy, znajduje się jeszcze część parkanu, otaczająca dawniej budynki gospodarcze właściciela majątku. Mur był ochroną przed napaścią rabusiów i wilków, które masowo napadały na gospodarstwa. Pamiątką tamtych czasów jest również dół wykopany przez służbę Jana Kamińskiego, służący do zabi-

jania wilków. Przynętą była padlina rzucona w głąb wykopaliska. Zwierzęta pochłonięte żarciem zabijano kamieniami i drągami. Nie było odwrotu, gdyż wykop był bardzo głęboki i posiadał strome ściany.

Wspomnę jeszcze, że dworek otoczony był ze wszystkich stron wysokim murem. Wioska, która istnieje do dziś, została zaludniona przez rodzinę założyciela.

Aby uczcić pamięć zmarłego Jana Kamińskiego, pokażę Pani zabytkowy pomnik na jego mogile, znajdujący się na cmentarzu w Lasocinie. Jest to piękna figura Anioła Stróża z rozpostartymi skrzydłami, wykonana ze specjalnego kamienia przez architektów włoskich.

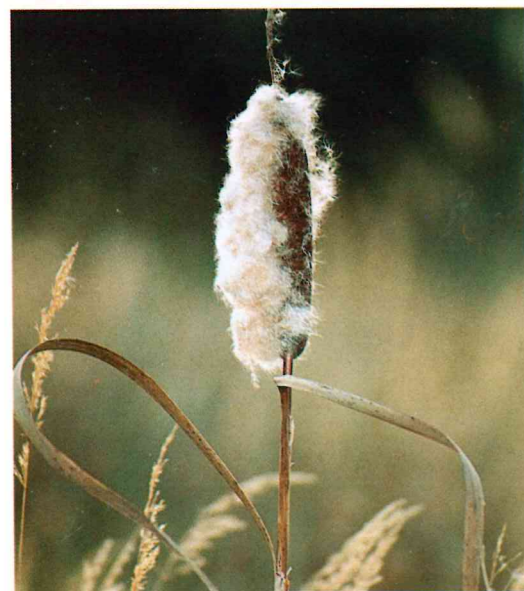
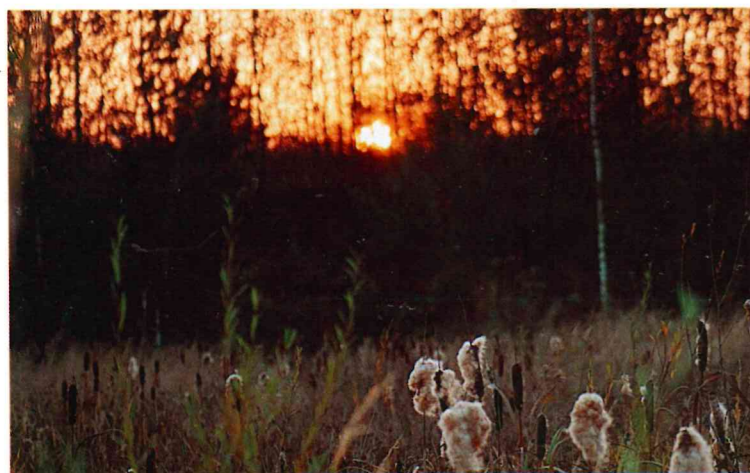
Zdradzę również tajemnicę, że założyciel Janopola był fundatorem ołtarza Matki Bożej w kościele parafialnym w Ożarowie, jak również ogrodzenia - parkanu, które kilka lat temu zostało zniszczone.

Wycieczka nasza dobiega końca. Dziękuję za mile spędzony czas. Jest mi bardzo przyjemnie, że gościła Pani w mojej miejscowości. Zapraszam w okresie grzybobrania.

Paweł Bogacz

(napisał ten tekst - wypracowanie, chodząc do klasy VIII a Szkoły Podstawowej w Ożarowie)

Grób Kamińskich
w Lasocinie



JANOPOL

JANA KAMIEŃSKIEGO GAWĘDA O JANOPOLU I RODZINIE

Janopol, moja wieś rodzinna. Pragnę Cię opisać od czasów Twego powstania, aż po dzień dzisiejszy. Jest to bowiem osada założona w początkach drugiej połowy XIX wieku przez mojego dziadka, Jana Kamieńskiego, i od Jego imienia zwana Janopolem. Dzieje Janopola są zatem równocześnie sagą rodu Kamieńskich.

Dziś sołectwo Janopol obejmuje nie tylko właściwy Janopol, ale także dwa inne przysiółki: Piotrowy i Górki.

Skąd się wzięli Kamieńscy? Podobno Lasota, zakładając Lasocin, sprowadził ich wraz z innymi z Mazowsza. W każdym razie ojciec Jana, Grzegorz, mieszkał w Lasocinie na Zapiecku. Żył w latach 1794-1848. Żoną jego to Helena Domaradzka, żyła w latach 1793-1854. Skąd to wiem? Otóż Jan swoim rodzicom wymurował grobowiec na cmentarzu w Lasocinie i na nim postawił pomnik przedstawiający anioła Archanioła z trąbą, symbolizuje on przyście Sąd Ostateczny i zmartwychwstanie umarłych. Pomnik ten, urzekający swym artystycznym, nie powstydziliby się stać na Powązkach. W tym grobowcu spoczywają jego rodzice, on sam z żoną Jadwigą, kilkoro jego dzieci i najbliższych krewnych. Napisy na postumencie to historia trzech pokoleń.

Co wiem o Grzegorzu? - ojcu mego dziadka - Jana? Według prawa rosyjskiego został wzięty do wojska w drodze losowania. Służył 10 lat. Według moich obliczeń mógł być wzięty do wojska ok. 1815 r. Miał wtedy 21 lat. Służył więc w wojsku Królestwa Polskiego, które powstało po Kongresie Wiedeńskim, a królem którego był car Aleksander I, pełnomocnikiem zaś w Warszawie był W. Książka Konstany. Przed pójściem do wojska zdążył się ożenić z Jadwigą Domaradzka, mieszkanką Lasocina. Po odbyciu służby wojskowej wrócił do domu jak Odys do Itaki i do Penelopy. Nierozpoznany przez żonę, gdyż myślała, że to zwykły podróżny, nie chciała go przyjąć na nocleg, mówiąc: jestem żołnierką i nie uchodzi przyjmować mi na nocleg kogokolwiek. Dopiero po tych słowach Grzegorz wyjawiał, kim jest i został przyjęty.

Jan, jedyne dziecko Grzegorza i Heleny, urodził się w 1828 r. Skończył progimnazjum w Sandomierzu, które mieściło się w Collegium Gostomianum, do którego dziesiątki lat wstecz uczęszczał Rafał Olbromski i Krzysztof Cedro z "Popiołów" Żeromskiego. Ożenił się młodo, przed dwudziestką, i zajął się gospodarstwem. Żoną Jadwigą Sikorska, żoną Tomasza Sikorskiego z Dzikowa, wzniosła znaczny posag, a jej brat nabył w Krukowie - sąsiedniej osadzie - 5 włók ziemi.

Z jakich folwarków nabył Jan ziemię - nie wiem. Podobno z trzech folwarków. Kupował stopniowo, aż osiągnął powyżej 300 morgów. Założył gospodarstwo i prowadził go wzorowo. Wystawił

budynki gospodarcze, wybił studnię głęboką ponad 50 m. Wybudował czworaki dla służby stałej, a sam mieszkał z rodziną w tak zwanej stancycie. Założył dużą pasiekę ok. 60 pni, miał też winnicę i tłoczył wino. Przechowywał je w beczkach w piwnicy pod stancijką. Z zabudowań dziadka pozostała do dziś owa stancijka, przebudowana i rozbudowana, w której mieszka obecnie Tadeusz Słoma, prawnuczek Jana. Jan i Jadwiga mieli ośmioro dzieci: czterech synów i cztery córki. Synowie dostali co najmniej średnie wykształcenie, córki tylko podstawowe. Trzech jego synów, w tym mój ojciec, zaliczyli Collegium Gostomianum. Jeden Higin - seminarium nauczycielskie - zdaje się w Solcu.



Jan Kamieński

Jeszcze coś o Dziadku. Miał szerokie horyzonty. Miał sporą bibliotekę, miał też książki jeszcze drukowane w drukarni J.K.M. Stanisława Augusta, np. książkę Kluka, która przypadła mojemu ojcu. Książka ta i inne przepadły w czasie wysiedlenia Janopola, gdy był front na Wiśle w 1944 r.

Dziadek wykarczał szmat lasu, prowadził racjonalną jak na owe czasy gospodarkę. Na żniwa przychodzili górale z Galicji z kosami. Wykaszali zboże i wiązali snopy. Zdążyli przeprowadzić żniwa tutaj i odprawić swoje, gdyż tam w górach żniwa bywają znacznie później. Ziemia, na której mieszkał, należała do parafii Ożarów. Uczestniczył aktywnie w budowie kościoła w Ożarowie i jest fundatorem dwóch bocznych ołtarzy w tym kościele. W tymże kościele pierwszy ślub był jego córki Pauliny z Antonim Zawiszą. Jak się zapomógł i mógł trochę odpocząć, wyruszył w drogę do Rzymu.

W 1932 r. mieszkałem w Sandomierzu na stancji. W tym czasie kopacze pniaków w lesie mego ojca wydobyli spod korzeni niewielkie zawiniątko już zupełnie zmuszające. Wewnątrz znajdował się zupełnie przerwany pistolet skalkowy i kilka piśmiąt mosiężnych, zupełnie dobrze zachowanych z napisem: Pułk Kosynierów Łżeckich. Wieść o znalezisku rozeszła się szybko i policja pobierała owe pieczętiki i podobno zostały przekazane do muzeum w Kielcach. Widziałem te pieczętiki. Ojciec mój opowiadał, że jego ojciec Jan należał do

grona organizatorów powstania - i być może on te insygnia ukrył w lesie. Jak wyżej wspomniałem, dziadek miał ośmioro dzieci. W swoim czasie wszyscy założyli rodziny. Gościerad i mój ojciec Józef wyjechali do Moskwy i tam znaleźli dobrą pracę. Higin został nauczycielem, Jan został gdzieś w Syskach koło Piotrkowa Trybunalskiego, miał tam duże gospodarstwo - być może wiano żony. Miał zakład przerobu mleka i do spółki z jakimś farmaceutą aptekę w Łodzi. Prędko owdowiał, dzieci nie miał.

Córki Jana, czyli moje ciotki, pozostały na miejscu. Najstarsza Emilia wyszła za mąż za Antoniego Studniarskiego z Ożarowa. Mieli jednego syna, Feliksa, który miał dwa gospodarstwa - jedno w Janopolu, drugie w Stodolach, razem około 80 morgów, czyli ponad 40 ha. Higin - nauczyciel miał dwie córki: Marię i Helenę. Obie zamieszkały w Janopolu, dzieląc na pół ziemię po ojcu, który jako nauczyciel po pierwszej wojnie osiadł w Stodolach, gdzie miał ok. 20 morgów pola. Honorata wyszła za Antoniego Machnickiego i mieszkali w czworakach. Jej dzieci, Antoni, Stanisław i Sabina - założyli rodziny i też zamieszkali w Janopolu. Machnicki, mąż Honoraty, miał w rodzinie biskupa. Córka Jana, Florentyna, wyszła za mąż za Maksymilianą Grudnika z Łży. Jej dzieci to Jan, Natalia, Stanisław, Mieczysław, Zygmunt i Maksymilian. Wszyscy zostali w Janopolu i założyli rodziny. Dziadek zmarł w 1909 r., babcia Jadwiga dwa lata później.

Dzieci przystąpiły do podziału majątku - formalnego podziału, ponieważ niektóre z nich gospodarowały samodzielnie na wydzielonych obszarach, gdyż ojciec co najmniej kilka lat przed śmiercią nie był już w stanie zarządzać całością.

Przy podziale wypadło każdemu po 40 morgów, z tym że Gościerad, gdy wrócił z Moskwy, przeniósł się na Bolesławów Mikołowski, gdzie mu ojciec kupił 60 morgów pola z lasem. Gościerad miał sześćoro dzieci. Dotychczas na starych śmieciach w Mikołowskim mieszka jego wnuczka, Krystyna Bąk. Jest ona moją chrześnicą, a w Julianowie - nieopodal - mieszka jej brat cioteczny, a więc wnuczek Gościerada - Jacek Smętek. Tamten Janopol, gdzie mieszkał dziadek, z czasem się postarzał. Powstało nowe osiedle nieco na północ od tamtego, a dała mu początek Florentyna - córka Jana, która się tu pobudowała, i jej dzieci - Jan, Natalia, Stanisław i Aleksander - założyli osobne gospodarstwa.

Opowiem zabawną historię, jaka przydarzyła się mężowi Florentyny. Miał dubeltówkę bez pozwolenia, a lubił polować. Pewnego razu, ścigany przez strażników, uciekł do domu i schował dubeltówkę w spodniach wiszących na haku. Przyszli strażnicy - szukali, nic nie znaleźli. Pytają dzieci - ma ojciec fuzję? - ma - odpowiedziały. A gdzie ją ma? - w portkach - odpowiedziały. Więcej już nie szukali i odeszli.

Jak wspominałem wyżej, dzieci Florentyny zażyły rodziny i zamieszkały w Janopolu. Powstało niewielkie osiedle, zwane Nowym Janopolem. Najstarszy Jan ożenił się z Anielą Adamską z Ożarowa.

JANOPOL

wa. Był to światowy człowiek, był jakiś czas w Ameryce; postępowy gospodarz, był jakiś czas wójtą w Lasocinie. Dotychczas na tym miejscu mieszka jego najmłodsza córka, Irena. Majcher, jej mąż, pochodzi z Czachowa. Syn Jana, Henryk, mieszka w Ożarowie. Pracował w Banku Spółdzielczym, był w konspiracji AK, był w partyzantce w oddziale Potoku, był uczestnikiem bitwy pod Piotrowym Polem, ma liczne odznaczenia, w tym Krzyż Walecznych, nadany przez Rząd RP w Londynie. Ma jeszcze siostrę Urszulę i miał brata Tadeusza, który od kilku lat już nie żyje.

Po sąsiedztwie z Janem Grudnikiem pobudowała się Natalia - jego siostra wyszła za Szczepana Gawelka. Mieli gospodarstwo i kuźnię. Ich dzieci żyją, ale żadne nie mieszka tu na stałe. Przyjeżdżają tylko na lato. Bogusław wybudował piękny dom letniskowy, a żona Joanna, już emerytka, hoduje kwiaty i ma piękny ogródek przydomowy. Mają jedną wnuczkę Dianę, obecnie studentkę w Warszawie. Oprócz Bogusława - Natalia i Szczepan mają jeszcze Cecylię, Martę i Antoniego. Wszyscy żonaci i mężatki. Wszyscy żyją i mają dzieci. Oprócz Grudników mieszkali w Janopolu Markiewiczowie. Helena Markiewicz - córka Higiną pobudowała się w Nowym Janopolu, jej siostra z mężem Feliksem Słomą zamieszkała - jak wcześniej wspomniałem - w Starym Janopolu i zamieszkały w stancycie mego i ich dziadka, Jana Kamieńskiego. Helena i Jan Markiewicz mieli czworo dzieci: Stanisława, Marię, Helenę i Teresę. Najstarszy, Stanisław, ukończył gimnazjum w Sandomierzu, Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii, był na wojnie w 1939 roku. Wrócił z wojny. Czynnny działacz chłopski - aresztowany i zastrzelony w czasie próby ucieczki. Jego siostry, Maria i Helena, zabrane do roboty, wróciły do domu po wojnie. Obecnie mieszkają w Lubinie, a dom w Janopolu stoi pusty.

Po tej ostatniej wojnie w tym Nowym Janopolu postawił się na swojej działce Kazimierz Słoma - ożeniony z Wiesławą Tużnik. Miał troje dzieci: Annę, Danutę i Halinę. Kazimierz to brat Tadeusza, który mieszka w Starym Janopolu. Jest więc synem Feliksa Słomy i Marii. Miał jeszcze na Włońskim siostrę, Wandę Gawlak.

Pozostają mi do opisu dzieje najmłodszego syna z tej ósemki dzieci Jana i Jadwigi - Józefa Kamieńskiego, a więc mego ojca. Urodził się w 1871 r., ukończył Collegium Gostomianum w Sandomierzu. Pracował jakiś czas w Puławach, zdaje się na poczcie, i pojechał do Moskwy ze swoim bratem Gościeradem. Zapewne przeszedł jakieś kursy księgowości, bo w Moskwie pracował jako buchalter w fabryce tekstyliów. Z biegiem czasu objął stanowisko głównego księgowego. Należał do Koła Polskiego, które wydawało pismo - „Orzeł Biały”. Tu poznał swojego przyszłego teścia - Józefa Karbowskiego. Ów Karbowski, powstaniec styczniowy z 1863 r., ranny, pokluty bagnietem, dostał się do niewoli i po wyzdrowieniu został wcielony do armii rosyjskiej, gdzie służył 10 lat. Po odbyciu kary jako „miałeżnik” nie miał prawa powrócić do Pol-

ski. Został więc w Moskwie i nauczył się stolarstwa, z biegiem czasu założył własny zakład. Ożenił się z Emilią, z domu Wulke, pochodzącą z rodziny niemieckiej z dawną zasiedloną w Moskwie, od czasów Piotra Wielkiego. Ów Piotr W. na przełomie wieku XVI i XVII sprowadził Niemców, głównie rzemieślników, do Moskwy i dał im do zasiedlenia miejscowość Lefortowo, które dzisiaj jest już dzielnicą Moskwy. Z tego małżeństwa miał troje dzieci, a Helena - najmłodsza z tej trójki - została żoną Józefa - mego ojca. Józef i Helena pobrali się w 1904 roku. W Moskwie urodziło im się sześćoro dzieci. Najstarsze, Jadwiga i Józefa, chodziły już do szkoły, gdy przyszła rewolucja 1917 r. Pamiętają, jak szkołę ich wizytował Dzierżyński. Z rewolucją nastąpiła bieda. Mama, by utrzymać rodzinę, smażyła pierogi i wynosiła na targ. Było to przedsięwzięcie ryzykowne, groziło konfiskatą towaru, a nawet aresztem. Do tego trudno było zdobyć mąkę. Na początku rewolucji przysłał mamie z Taszkientu worek mąki Feliks Słoma. Przysłał przez swojego ordynansa. Feliks Słoma, z zawodu nauczyciel, był oficerem w carskiej armii i w tym czasie Taszkient nie był jeszcze objęty rewolucją. Tutaj przypominę, że Feliks Słoma ożenił się z Marią, córką Higiną, i do dnia dzisiejszego jego syn, Tadeusz Słoma, mieszka w Starym Janopolu.

W 1921 r. mój ojciec, Józef, postanowił wyjechać z Moskwy do Polski. Jego teść, a mój dziadek, Józef Karbowski, zmarł w 1916 roku w tym samym dniu, w którym zmarł Henryk Sienkiewicz. Gazeta Związku Polaków - „Orzeł Biały” zamieściła na swych łamach jego nekrolog.

Nie będę opisywał gehenny - powrotu do Polski. Wolno było zabrać ze sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy. Mama chciała zdjąć ze ściany portret swojego ojca, ale służąca nie pozwoliła, gdyż w myśl nowego prawa pozostała właścicielką mieszkania.

Przybyliśmy do Janopola, zwanego wówczas Konią Janopol. Zamieszkałszy czasowo w starych czworakach, ale ojciec od razu myślał o postawieniu zabudowań na swojej działce. Pieniądzy nie miał, ale miał kawał lasu, więc sprzedawał drewno. W 1922 r. przeprowadził się z rodziną do swojego domu. Starsze dzieci poszły do szkoły. Przyszła na świat najmłodsza z naszego rodzeństwa, Lucyna. Było nas rodzeństwa siedmiu. Najstarsze poszły do szkoły do Ożarowa. Na kilka lat od przyjazdu my, najmłodsi, uczyliśmy się w Czachowie. Szkoła mieściła się w murowanym budynku Kupczyka. Uczył nas nauczyciel Pietrkiewicz, który również z Czachowa pochodził. Na tym miejscu, gdzie była szkoła, stoi dziś dom Gaczkowskich.

Pamiętam takie zdarzenie z tych czasów: nieopodal szkoły mieszkał Gwóźdź, który na zimę wynajmował jedną izbę Cyganom. Było tam kilkoro Cyganiątek, ale do szkoły nie chodziły. W czasie przerwy między lekcjami wychodziliśmy na drogę, a także Cyganiątka, i z daleka rzucaliśmy do siebie piguły śnieżne, a wczesną wiosną były tu kamienie, były to nasze kule. Odległość jednak nie po-

zwalała zrobić sobie krzywdy. Razu pewnego, przechodząc smutnie koło domu z Cyganami, napadły mnie Cyganiątka i pobity. Leżałem na trawie trochę poturbowany i ujrzałem coś świeżącego w trawie. Była to dziesięciogroszówka. Ucieszony schowałem ją w dłoń i podniosłem się z miejsca niezmiernie zadowolony. Można było za to kupić kilka landrynek.

Ojciec gospodarzył, dzieci rosły. Z sześciu sióstr pięć zostało nauczycielkami. Najstarsza, Jadwiga, po skończeniu Seminarium Nauczycielskiego w Collegium Gostomianum uczyła matematyki w Ożarowie. Kierownikiem szkoły był wówczas Szyłko. Jak wyszła za mąż, przeniosła się za Wisłę, do męża. Józefa uczyła w Sandomierzu, a Kazimiera i Lucyna już po wojnie uczyły w Czachowie, Lasocinie i Linowie. Zofia skończyła szkołę krawiecką i wyszła za krawca. Siostra Anna była przedszkolanką, ale to już po wojnie. Wyszła za mąż za Mieczysława Potockiego, studenta prawa i już przed wojną podporucznika Wojsk Polskich. Był on na wojnie w 1939 r., by bezpiecznie wracać, dla niepoznania niósł grabie na ramieniu. Zginął w konspiracji i partyzantce. Pozostawił dwoje dzieci, Basię i Jacka. Basia, dziś już emerytowany lekarz onkologii, jej mąż Jacek Wojcierowski, dr habilitowany i profesor zwyczajny, jest również prorektorem Akademii Medycznej w Lublinie. Jacek skończył Wojskową Akademię Techniczną w Warszawie i został zawodowym wojskowym. Będąc podpułkownikiem, poważnie zachorował na serce i poszedł na rentę.

Na zakończenie tej opowieści proszę mi wybaczyć. Pragnę coś niecoś napisać po sobie. Po maturze odbyłem jednoroczny Kurs Podchorążych Piechoty w Kielcach i od razu poszedłem na wojnę. Miałem funkcję zastępcy dowódcy plutonu. Po kapitulacji pułku dostałem się do niewoli, uciekłem z transportu, wróciłem do Janopola. W czasie okupacji gospodarowałem, gdyż ojciec był już starszy wiekiem. Należałem do ZWZ i AK. Jako partyzant w lasach starachowickich i świętokrzyskich byłem dowódcą plutonu w Pułku Łżeckim. Mam Krzyż Walecznych przyznany mi przez Emigracyjny Rząd w Londynie. Po wojnie wróciłem do całkowicie zniszczonego gospodarstwa. Ojciec zmarł w 1945 r. Musiałem zająć się gospodarstwem, bez inwentarza w rozwalonych budynkach. Było bardzo ciężko. Miałem jeszcze matkę (1885-1969 r.) i siostry, Lucynę i Kazimierę. Na życie i bieżące wydatki pędziłem bimber. Po jakimś czasie podjąłem zaoczne studia rolnicze w Krakowie i ukończyłem je w 1956 r. jako inżynier rolnik. Gdy siostry Lucyna i Kazimiera zmarły w 1988 r., zostałem sam. Przyjechała z Lublina wówczas moja siostra Anna i zajęła się domem, a jej syn Jacek, już wówczas na rencie, objął gospodarstwo, biorąc na swoje barki bardzo ciężkie brzemie. Na zakończenie wypada dodać, że jestem ostatnim męskim potomkiem rodu Kamieńskich.

Jan Kamieński
(zachowano oryginalny styl wypowiedzi)

Pro Memoria

CZŁOWIEK NIE UMIERA DOPÓTY, DOPÓKI ŻYJE W LUDZKIEJ PAMIĘCI



Anna Dudowa z domu Siejzanka
(1911-2001)

W dniu 16 listopada w wieku 90 lat odeszła Anna Dudowa - długoletnia nauczycielka Szkoły Podstawowej w Lasocinie, wybitny pedagog, ale przede wszystkim wielka działaczka społeczna i ludowa.

Kiedy ją poznałam, była osobą niezwykle skromną. Nigdy nie chwaliła się swoimi sukcesami i dokonaniem, dopiero okoliczni mieszkańcy i starsi nauczyciele uświadomili mi, kim jest naprawdę ta drobna kobieta i jak olbrzymią ma osobowość.

Urodziła się 15.10.1911 r. w Lasocinie. Po ukończeniu szkoły powszechnej w latach 1928-1933 kształciła się w Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Ostrowcu. Pierwsze pedagogiczne doświadczenie zdobywała w Kowlu na Kresach. Pracowała z dużym zaangażowaniem, aż do wybuchu wojny, ale zawsze tęskniła za rodzinną miejscowością i młodszym rodzeństwem.

Wojnę spędziła w Lasocinie, nie tylko opiekując się młodszym rodzeństwem. Zwyciężył nauczycielski duch i ogromne poczucie obowiązku, które skłoniło ją wraz z Eugenią Fornalską do podjęcia bardzo niebezpiecznego działania w zakresie tajnego nauczania.

Po wyzwoleniu, mimo kilku propozycji pracy w większych miejscowościach, została nauczycielką w swoim kochanym Lasocinie. Swoją rzetelną wiedzę merytoryczną wykorzystywała w pracy oraz w bezpośrednich kontaktach z wychowankami.

Jej wszechstronność pedagogiczna była niekwestionowana, stąd zyskała sobie uzna-

nie wśród kilku pokoleń lasocińskich rodzin. Była Panią od wszystkiego. Doskonale znała j. francuski i rosyjski.

Bardzo pięknie się wysławiła. Swoim pięknym tembrem głosu i modulacją potrafiła zawsze skoncentrować uwagę wychowanków i słuchaczy. Można jej było słuchać godzinami.

Te wartości świadczyły o jej wysokiej kulturze osobistej, niekłamanej autorytecie i uniwersalizmie jej osobowości.

W 1974 r. wraz z mężem Józefem (ówczesnym kierownikiem) odeszła na emeryturę. Pamiętam, jak bardzo się wtedy załamała, unikała kontaktów z ludźmi. Miała pretensje do wszystkich i o wszystko. Widać było, że utraciła wiarę w sens życia, które było dla niej dopóty cenne, dopóki pracowała w ukochanej szkole. Brak interesującego zajęcia stał się przyczyną jej złego samopoczucia. W tym czasie wycofała się z jakże aktywnego życia społecznego. A przecież tak wiele zrobiła dla tego środowiska.

Była niezwykle kreatywna, ale miała również olbrzymią charyzmę, dzięki której do wielu działań porywała nie tylko dzieci i młodzież, ale również dorosłych. Lista jej dokonań społecznych jest ogromna. Na terenie budzącego się do życia po pożodze wojennej Lasocina utworzyła kółko teatralne dla młodzieży pozaszkolnej, które prowadziła przez kilka lat. Wraz z młodzieżą z wielkim rozmachem przygotowała wiele widowisk, jak: „Zagłoba swatem”, „Zemsta”, „Ondraszek”, „Jaselka”. Stroje do tych widowisk jej mąż wypożyczał w Kielcach. Ona pełniła funkcję reżysera, scenografa, choreografa i aktora w jednej osobie. Przygotowane sztuki wystawiała w okolicznych miejscowościach, a dochód przeznaczala na cele społeczne, jak ogrodzenie placu wokół szkoły, potrzeby straży pożarnej.

Do aktywnego działania porwała też miejscowe kobiety. Przez wiele lat pełniła funkcję przewodniczącej KGW. Krzewiła oświatę poprzez organizację kursów pieczenia, gotowania i szycia, ale udało jej się również z kobietami utworzyć zespół wokalny, który brał udział we wszystkich uroczystościach lokalnych i regionalnych. Autorką tekstów piosenek, przyspiewek i wierszy była p. Anna.

Stosownie do potrzeb i okoliczności potrafiła błyskawicznie ułożyć tekst wiersza lub piosenki, które wykonywał zespół. Szkoda, że tej swojej twórczości nie zapisywała ani nie opublikowała. Niektóre z jej wier-

szki można jeszcze usłyszeć od 82-letniej pani Heleny Piotrowskiej.

Dziś, z perspektywy czasu, żal, że te utwory można było ocalić od zapomnienia. Pani Anna nie szczędziła sił w pracy dla nauczycieli. Aktywnie pracowała w ognisku ZNP. Pełniła w nim wiele funkcji. Była przewodniczącą sekcji pedagogicznej, sekretarzem, a w 1969 r. została prezesem ogniska ZNP Lasocin. Pod jej kierunkiem ognisko organizowało spotkania z pisarzami, wycieczki krajoznawcze, wyjazdy do kina, teatru i operetki. Za twórcze działania, aktywną postawę i zaangażowanie była wielokrotnie wyróżniana i nagradzana, między innymi Złotą Odznaką ZNP, Odznaką za zasługi dla Kielecczyny, Złotym Krzyżem Zasługi i honorową odznaką PCK.

Pożegnaliśmy ją 20 listopada na miejscowym cmentarzu, w ziemi, którą tak ukochała. Znany poeta ks. J. Twardowski pisał, żeby spieszyć się kochać ludzi, bo tak szybko odchodzą...

Wprawdzie pamięć po zmarłych wiecznie trwa - dowodzi inny poeta w naszym lasocińskim środowisku - nie da się jednak zastąpić miejsca po Pani Annie.

Cześć jej pamięci!

Młodsza koleżanka

Anna Dudowa (z Siejków) ur. 15.10.1911 r. w Lasocinie.

Po ukończeniu Szkoły Powszechnej w Lasocinie rozpoczęła w 1928r. naukę w Państwowym Seminarium Nauczycielskim Męskim im. Tadeusza Kościuszki w Ostrowcu, które ukończyła w 1933 r., otrzymując dyplom nauczyciela szkół powszechnych. Następnie w latach 1934-1937 w ramach bezpłatnej praktyki uczyła dzieci w Szkole Powszechnej Nr 1 w Kowlu. Po zdaniu praktycznego egzaminu na nauczyciela publicznych szkół powszechnych została nauczycielką w Szkole Powszechnej w kolonii Wierzbiczo w powiecie kowelskim. Uczyła tam, aż do wybuchu II wojny światowej w 1939 r.

Wojnę spędziła w Lasocinie (pewien czas przebywała na wysiedleniu w Glinianach). Prowadziła tajne nauczanie.

Po wojnie miała kilka propozycji podjęcia pracy w większych ośrodkach, ale z nich nie skorzystała. Była związana z Lasocinem i chciała wziąć udział w jego odbudowie (szkoła, kościół) oraz w życiu kulturalnym. Dnia 5 czerwca 1945 r. została mianowaną przez Inspektora Szkolnego w Opatowie nauczycielką szkoły powszechnej w Lasocinie, gdzie uczyła aż do 1974 r., kiedy przeszła na emeryturę. Była odznaczona odznaką „Za zasługi dla Kielecczyny”.

szki można jeszcze usłyszeć od 82-letniej pani Heleny Piotrowskiej.

Dziś, z perspektywy czasu, żal, że te utwory można było ocalić od zapomnienia. Pani Anna nie szczędziła sił w pracy dla nauczycieli. Aktywnie pracowała w ognisku ZNP. Pełniła w nim wiele funkcji. Była przewodniczącą sekcji pedagogicznej, sekretarzem, a w 1969 r. została prezesem ogniska ZNP Lasocin. Pod jej kierunkiem ognisko organizowało spotkania z pisarzami, wycieczki krajoznawcze, wyjazdy do kina, teatru i operetki. Za twórcze działania, aktywną postawę i zaangażowanie była wielokrotnie wyróżniana i nagradzana, między innymi Złotą Odznaką ZNP, Odznaką za zasługi dla Kielecczyny, Złotym Krzyżem Zasługi i honorową odznaką PCK.

Pożegnaliśmy ją 20 listopada na miejscowym cmentarzu, w ziemi, którą tak ukochała. Znany poeta ks. J. Twardowski pisał, żeby spieszyć się kochać ludzi, bo tak szybko odchodzą...

Wprawdzie pamięć po zmarłych wiecznie trwa - dowodzi inny poeta w naszym lasocińskim środowisku - nie da się jednak zastąpić miejsca po Pani Annie.

Cześć jej pamięci!

Młodsza koleżanka

HUBERTUS W „PUSTUŁCE”

Polska jest krajem o bogatych tradycjach łowieckich. W czasie ponadtysiącletniej historii naszego państwa - a pamiętać musimy, że myślistwo było obok zbieractwa jednym z najważniejszych zajęć naszych przodków na długo przed powstaniem państwa polskiego - wykształciły się różnorodne formy zwyczajów i ceremoniału łowieckiego. Bogata gwara myśliwska, która w tym czasie powstała i rozwinęła się, jest zwierciadłem życia naszych przodków, przejawem rozwoju i bogactwa naszego języka, świadectwem jednej z tradycyjnych dziedzin kultury narodowej.

Zwyczaje łowieckie i ceremoniał myśliwski przekazywane są z pokolenia na pokolenie. Stosowane są one szeroko przez wszystkie koła łowieckie i wszystkich myśliwych. Przyczyniają się w ten sposób do wzbogacenia form samowychowania w szeregach braci myśliwskiej, a język łowiecki jest czynnikiem zespalaającym nasze środowisko. Tradycja i kultura łowiecka tworzą nasz wspólny dorobek. Dowodem kultywowania ceremoniału i kultury łowieckiej przez Zarząd i Członków Koła Łowieckiego „Pustułka” w Ożarowie było święcenie dnia patrona myśliwych - św. Huberta w dniu 3 listopada bieżącego roku. Łowom w tym dniu nadano specjalnie uroczysty charakter, podkreślając, że polowanie „hubertowskie” jest pierwszym zbiorowym polowaniem jesiennym w sezonie.

Na zbiórce o godz. 7.00 stawili się 36 myśliwych i 5 kandydatów. O godzinie 7.30 w kościele św. Michała w Lasocinie proboszcz, ks. Mirosław Frączek - członek naszego koła - w asyście sztabu odprawił mszę świętą w intencji zmarłych:

- założycieli Koła Łowieckiego „Pustułka” w Ożarowie, kolegów: Henryka Blinowskiego, Józefa Pozorskiego, Leona Kobrzyckiego, Stefana Rudzkiego,

- myśliwych: ks. Józefa Jędrasika (proboszcza parafii Lasocin), Romana Kobrzyckiego, Mieczysława Stawiarza, Władysława i Edwarda Seweryńskich, Wojciecha Karasia, Władysława Wdowskiego, Jana Pałkę, Leona Mazurkiewicza, Stefana Stawiarzkiego, Jana Surmę, Jana Gawłaka, Józefa Siejkę, Józefa Koneckiego, Mariana Wolczyńskiego, Piotra Moskwę, Romana Opałkę, Ryszarda Szałkowskiego, Józefa Mrocza, Edwarda Pawlika, Ryszarda Gronka, Stanisława Pastuszkę i zmarłych w tym roku kolegów: Mariana Jelonka - wieloletniego łowczego naszego koła, i Kazimierza Kosiora.

Proboszcz przypomniał zebranych (myśliwym i ich rodzinom) postać patrona myśliwych - św. Huberta - pisałem o tym szeroko w grudniowym numerze miesięcznika „Ożarów” w roku ubiegłym. Przypomniał też, że dzień poświęcenia relikwii św. Huberta, 3 listopada ogłoszono świętem myśliwych i leśników. Miało to miejsce w roku 743 w Liege.

Tegoroczny święty Hubert i msza w Lasocinie miały szczególne znaczenie dla kolegów: ks. Mirosława Frączka, Tomasza Blinowskiego - trzecie pokolenie polujących

w rodzinie Blinowskich, Grzegorza Cieślaka, Waldemara Ordynowskiego, Mieczysława Safiańskiego, Sławomira Szeliği, Stanisława Teległowa, Marka Warelisia oraz dwu Andrzejów Zajaków (Małego i Dużego).

Po rocznym terminowaniu, pokonaniu administracyjnych kłopotów: złożenia egzaminów, uzyskania wymaganych prawem i regulaminem zaświadczeń i zezwoleń, wpłacenia wpisowego, kupienia i zarejestrowania broni rozpoczęli oni życie myśliwskie od złożenia uroczystego ślubowania. Podczas ślubowania towarzyszyli młodym myśliwym ich opiekunowie, którzy sprawowali pieczę nad nimi w czasie odbywania stażu kandydackiego. Ślubujący wywołani zostali przed szereg myśliwych obok sztabu koła i klęcząc na lewym kolanie, broń trzymając w lewej ręce, pionowo opartą stopką o ziemię, powtarzali za przyjmującym ślubowanie tekst ślubowania:

Przystępując do grona polskich myśliwych, ślubuję uroczysto:

*przestrzegać sumiennie praw łowieckich,
postępować zgodnie z zasadami etyki łowieckiej,
zachowywać tradycje polskiego łowiectwa,
chronić przyrodę ojczystą,
dbać o dobre imię łowiectwa i godność polskiego myśliwego.*

Przyjmujący ślubowanie - prezes zarządu koła - wypowiedział słowa:

Na chwałę polskiego łowiectwa bądź prawym myśliwym, niech Ci bór darzy.

Po ślubowaniu „nowi” myśliwi przyjęli gratulacje i życzenia kolegów.

O godz. 8.30 prowadzący polowanie hubertowskie - gospodarz łowiska w Obwodzie Łowieckim Nr 5, kol. Bernard Pałka - rozpoczął odprawę myśliwych. Odprawa myśliwych przed polowaniem jest to przywitanie myśliwych z łowiskiem i spotkanie kolegów przed łowiecką przygodą. Powitał gości i myśliwych naszego koła oraz życzył, aby łowisko

obdarzyło łowców sukcesem. Po dopełnieniu przewidzianych regulaminem polowań czynności, tj. poinformowaniu o gatunkach i ilości zwierzyny przewidzianej do odstrzału, systemu sygnałów, zasad bezpieczeństwa i upewnieniu się, że uczestnicy posiadają niezbędne dokumenty, prowadzący przystąpił do losowania kart stanowiskowych, zachowując kolejność odpowiadającą godności uczestników i zwyczajom gościnności.

O godz. 9.00 rozpoczęło się pierwsze pędzenie. Po rannych przymrozkach pojawiło się słońce i tak było do zakończenia polowania.

O godz. 12.00 prowadzący nakazał pokot - to tradycyjny sposób zakończenia łowów. Przy ubitej zwierzynie ustawili się myśliwi. Zwierzynę - jak nakazuje tradycja - ułożono na prawym boku od prawej ku lewej stronie, według łowieckiej hierarchii: w pierwszym szeregu ułożono drapieżniki:

- ustrzelono jednego lisa (św. Hubert darzył kol. St. Nawojkiemu), w następnym szeregu znalazły się cztery zające.

Prowadzący polowanie dokonał ogłoszenia wyników polowania: królem polowania został kol. Alfred Skura (wójt gminy Tarłów) - gość zaproszony przez Zarząd Koła.

Myśliwskim pozdrowieniem „Darz bór” prowadzący zakończył łowy.

O godz. 13.00 w Domku Myśliwskim w Czachowie rozpoczęła się biesiada myśliwska. Poprzedziło ją wystąpienie prezesa zarządu koła, który przypomniał, że właśnie w miesiącu październiku br. minęło 55 lat od założenia koła. Chwilą ciszy, w zadumie, wspomniano 28 kolegów, którzy odeszli z naszego koła do Krainy Wiecznych Łowów. W imieniu Zarządu prezes złożył życzenia nowo przyjętym myśliwym, przypomniał, że to oni będą przecież przejmowali część obowiązków, będą przenosili tradycje i zwyczaje na kolejnych kandydatów.

Zarząd Koła uhonorował okolicznościowymi dyplomami najdłużej polujących w naszym kole myśliwych: kol. Michała Nowakowskiego - 50 lat (przyznany koledze przez Kapitułę Odznaczeń Łowieckich w czerwcu br. Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej - nie dotarł jeszcze do Zarządu Koła), kol. Jana Wójcika - 37 lat przynależności do koła, oraz kol. Szczepana Blinowskiego - 36 lat polującego w naszym kole.

Koledzy Henryk Grudnik i Edward Tarłowski, za długoletnią pracę na rzecz Koła Łowieckiego „Pustułka” w Ożarowie, również zostali uhonorowani dyplomami.

Do późnych godzin wieczornych trwało spotkanie myśliwych, kandydatów i sympatyków koła przy ognisku i grillu, przy dźwiękach akordeonu śpiewano piosenki biesiadne, popijano z pirosiówek (i nie tylko), opowiadano humory i dowcipy, nie tylko myśliwskie.

Darz Bór
Prezes Zarządu Koła
Bronisław Cembrowski

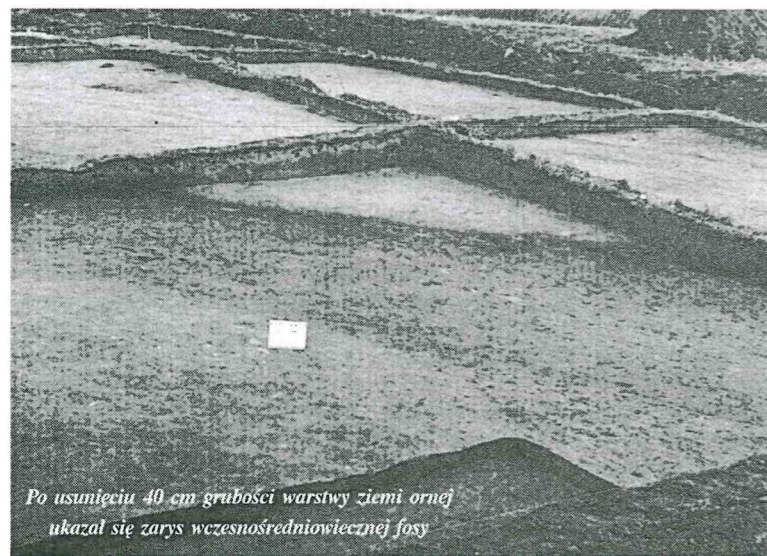


SZANOWNI PAŃSTWO

W sierpniu bieżącego roku mieliśmy przyjemność prowadzić badania archeologiczne na stanowisku nr 1 w Biedrzychowie. Wykopaliska te okazały się w pewnym sensie sensacyjne - spodziewając się badania śladów osady z epoki neolitu, byliśmy nieco zaskoczeni, gdy odkryliśmy linię umocnień z okresu wczesnego średniowiecza. Tym samym zidentyfikowaliśmy, co w naszych czasach wydaje się już prawie niepodobieństwem, zupełnie nowy gród - potwierdziły się domniemywania archeologów, oparte do tej pory tylko na fakcie nazwania tej góry "Grodziskiem". Pracownicy biorący udział w badaniach, pochodzący z okolicznych miejscowości, dostarczyli nam numer 7/27 pisma "Ożarów", co dało nam powody sądzić, że lokalna ludność jest żywo zainteresowana przeszłością swojego regionu, a redagowane przez Państwa pismo stało się istotnym czynnikiem w tworzeniu krajobrazu kulturalnego gminy. W podziękę za liczne dowody sympatii, spotykające nas na każdym kroku podczas pobytu w gminie Ożarów, chcielibyśmy przyczynić się do rozpowszechnienia wiadomości o Biedrzychowie, jego bogatych dziejach i ważnej roli w historii politycznej i gospodarczej Polski. Z tego powodu pragniemy zaproponować Państwu publikację wyników badań w tym sezonie w formie krótkiego artykułu popularnonaukowego, opatrzonego wykonanymi w trakcie badań zdjęciami.

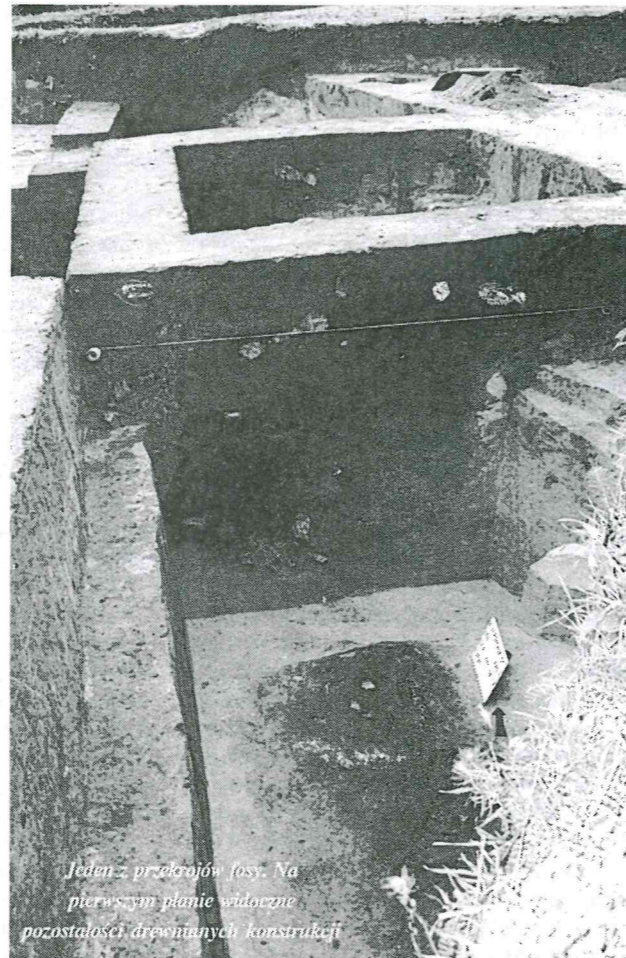
Jednocześnie serdecznie zapraszamy cały Zespół Redakcyjny do odwiedzenia naszych wykopalisk w przyszłym sezonie i zapoznania się, tym razem osobiście, z realiami pracy archeologów na stanowisku w Biedrzychowie.

Z poważaniem
mgr Małgorzata Krasna-Korycińska
mgr Andrzej Jankowski
(Milanówek, Legionowo)



Po usunięciu 40 cm grubości warstwy ziemi ornej ukazał się zarys wczesnośredniowiecznej fosy

Listy od Czytelników



Jeden z przekrojów fosy. Na pierwszym planie widoczne pozostałości drewnianych konstrukcji



TAJEMNICZA GÓRA W BIEDRZYCHOWIE

Naprzeciwko Annapola, na krawędzi doliny Wisły, wznoszą się malownicze wzgórza, najwyższe z nich od wielu wieków nazywane były przez okolicznych ludzi „Grodziskiem”. Ten lessowy ostaniec wznosi ponad sto metrów nad poziom dna doliny, zaś ze szczytu doliny roztacza się rozległa panorama, obejmująca znaczny odcinek biegu rzeki oraz obszary do niej przyległe. Góra znajduje się w punkcie naturalnie obronnym, wstępu na nią bronią strome stoki - od wschodu opadające ku rzece, od południa i północy gwałtownie schodzące w głębokie wąwozy.

Trudno uwierzyć, żeby w przestrzeni wieków nikt nie zauważył, jakie korzyści przynieść może lokalizacja siedziby w takim wyjątkowym miejscu. W latach sześćdziesiątych na tym wznieśieniu dr Bogdan Balcer przeprowadził sondżowe badania archeologiczne, odkrywając osadę z młodszej epoki kamienia. Góra jednak nadal zachowała niektóre ze swoich tajemnic, a dopiero po niemal czterdziestu latach archeolodzy zaczęli poznawać jej sekrety. Badania wykopaliskowe, rozpoczęte w sierpniu br., objęły swoim zasięgiem wschodnią partię wznieśienia. Jeszcze przed przystąpieniem do jakichkolwiek prac zaobserwowano w terenie nieznaczne, liniowe zagłębienie, przebiegające łukowato z północy na południe, odcinając część cyplową wzgórza od reszty jego powierzchni. Prace wykopaliskowe wykazały, że w tym miejscu w okresie wczesnego średniowiecza przebiegała linia umocnień w postaci suchej fosy oraz drewnianej palisady, mogącej być elementem składowym solidniejszej konstrukcji. Przesłankę dla takiego twierdzenia dostarczyło odkrycie pomiędzy fosą a palisadą „stopni” wykopanych w lesie, na których prawdopodob-

nie posadowione były belki tworzące wał. Linia obwałowań umocniona była od zewnątrz kamieniami.

Badania dostarczyły nieznacznej ilości materiału zabytkowego pochodzącego z wczesnego średniowiecza, a znalezione bez wyjątku na dnie szosy. Obok spalonych elementów drewnianych wystąpiły kości zwierzęce oraz ceramika. Fragmenty naczyń wstępnie datowano na wiek X, nie wykluczając nieco szerszych ram chronologicznych - weryfikacja takiego datowania odkrytych konstrukcji powinna nastąpić w trakcie przyszłych sezonów badawczych. Niewątpliwie jednak potwierdziły się dotychczasowe przypuszczenia o domniemanym grodzisku wczesnośredniowiecznym, lokowanym na badanym wzgórzu.

Już wyniki pierwszego sezonu badań archeologicznych pozwalają na wysuwanie ostrożnych hipotez dotyczących funkcji grodu w Biedrzychowie. Z racji niewielkich rozmiarów majdanu, obiektywnie dość słabych umocnień, stopnia ekspozycji w terenie, a co za tym idzie - warunków doskonałych do obserwacji rozległych obszarów, omawiany gród można uznać za strażnicę. Być może, wraz z leżącymi na północ grodami, założonymi na krawędzi doliny Wisły (np. w Słupi Nadbrzeżnej i Solcu nad Wisłą), należał do ciągu punktów strzegących drogi wodnej lub lądowej, biegnącej wzdłuż zachodniego brzegu rzeki, na odcinku od Zawichostu do Solca nad Wisłą. Może grodzisko w Biedrzychowie chroniło żeglarzy lub kupców przewożących sól?

Wczesnośredniowieczni budowniczy okazali się doskonałymi fachowcami - jako pierwsi docenili obronne warunki góry w Biedrzychowie. Po nich dopiero stratedzy w dwudziestym

wieku postanowili wykorzystać naturalne ukształtowanie terenu - w trakcie wykopalisk natrafiono bowiem na okop z czasów II wojny światowej, którego przebieg pokrywa się z linią wczesnośredniowiecznej fosy.

Takie nazwy jak „Grodzisko”, a co za tym idzie funkcja tak określanego miejsca, okazują się bardzo trwałe w zbiorowej pamięci lokalnej ludności. Zastanawiające jest w takim wypadku nazwanie sąsiadującego od północy wzgórza mianem „Za Grodziskiem” i tym samym podkreślenie ich wzajemnych związków. Być może te dwa punkty stanowiły jeden kompleks osadniczy (gród i osada przygodowa?), a ich rozdzielenie uzasadnione byłoby jedynie względami topograficznymi.

Badania wykopaliskowe w przyszłych sezonach powinny dostarczyć odpowiedzi na szereg pytań, związanych z datowaniem grodziska w Biedrzychowie oraz jego rolę we wczesnośredniowiecznej, lokalnej i państwowej strukturze osadniczej. Mimo ogromnego nakładu pracy, tajemnicza góra w Biedrzychowie nie pozwoliła na całkowite poznanie swoich sekretów. Tegoroczne badania uzupełniły w sposób znaczący kartę lokalnej historii, uzupełniając tym samym nasze wiadomości o sieci grodów wczesnośredniowiecznych w skali całej Polski.

Autorzy serdecznie dziękują Pani Profesor Marii Miśkiewiczowej, Panu Profesorowi Andrzejowi Buko oraz Panu Doktorowi Markowi Florkowi za pomoc przy określaniu chronologii zabytków i cenne wskazówki dotyczące osadnictwa na Wyżynie Sandomierskiej we wczesnym średniowieczu.

Małgorzata Krasna-Korycińska,
Andrzej Jankowski



NIEZWYKŁOŚCI Z OZAROWSZCZYZNY

COŚ BYŁO W PRZERII

SUCHĄ STOPĄ PO WODZIE

Przeczytałam już kilka opisów niezwykłych zdarzeń związanych z jeziorem Przeria w Biedrzycach. Wywołały one wspomnienia z mojej pamięci. Bolesne, gdyż dotyczyły najtrudniejszego okresu życia. Na szczęście byłam wtedy dzieckiem i szybko rany wojenne się zabiły. Zdarzyło się to w ostatnim roku okupacji niemieckiej, kiedy mama wysłała nas - to znaczy mnie i starszą siostrę - na wieś do rodziny, żeby nam było bezpieczniej i żeby babcia nas odżywiła wiejskim jadem. A tu pech! Właśnie najgorsze mogło się nam przytrafić w okolicach Biedrzyc, gdzie niedaleko stanął front na Wiśle. Przez kilka tygodni mieliśmy nad głowami piekło. Rosjanie zza Wisły walili z dział w Niemców ukrytych w ziemi na wzgórzach po drugiej stronie. Babcia nie mogła zdecydować się na ewakuację, więc trawiliśmy w ogniu wojny, ciągle doznając strachu, chłodu, głodu. Tak doczekaliśmy przedświątecznego czasu.

Marzyliśmy na Wigilię o rybie. Przyminaliśmy sobie, że przecież niedaleko od wsi, wśród pól i łąk, leży jezioro, nad które często biegaliśmy latem. Miejscowi chłopcy mówili nam, że nie brakuje w nim ryb. Siostra przypominała sobie, jak oni przy-

gotowują wędki i taką sama zrobiłam. Wymknęliśmy się z domu i wkrótce byliśmy nad wodą. Do świąt brakowało jeszcze kilka tygodni, ale chcieliśmy wiedzieć wcześniej, czy będzie można liczyć na ryby z jeziora. Woda w Przerii była lekko pomarszczona, gdyż wiał w ten zachmurzony dzień wiatr. Wkoło było spokojnie. Schowane w nadbrzeżne zarośla zapomnieliśmy o wojnie, o tym że niedaleko od nas usadowiły się oddziały i pełno było wojska. Siostra niezdarnie rzuciła sznurek z haczykiem do wody i zaczęło się niecierpliwe czekanie na rybę. Ja, młodsza i niecierpliwa, szybko znużyłam się martwym ślęceniem nad wodą. Zaczęłam się kręcić na wysokim w tym miejscu brzegu. W pewnym momencie poślizgnęłam się i zsunęłam w wodę. Byłam pewna, że wpadam w zimną i głęboką taflę jeziora. Najwcześniejszy dotarły do wody podeszwy moich zdezelowanych butów. Nie zanurzyły się jednak w taflę jeziora, ale oparły się o coś stałego, jakby lodową powierzchnię. Tak przez ułamek sekundy pomyślałam. Jednak wokół widziałam pomarszczoną wodę, na lód było stanowczo za wcześnie. Wszak tej nocy nie było przymrozków. Zsuwając się z brzegu, nabrałam nieco energii, która mnie sa-

moczynnie pchała w stronę środka stawu. To już nie było złudzenie. Nadal tkwiłam na powierzchni wody - teraz, gdy to spisuje, nie wiem, czy to była woda, czy chwilowe zamrożenie kawałka jeziora. Kolejny krok odbył się po elastycznym, przezroczystym chodniku, lekko uginającym się elastycznym pasie, rozłożonym na powierzchni Przerii. Tak zafascynowana niezwykłymi możliwościami, przeszłam kilka metrów. Przeraziły krzyk siostry, która podniosła głowę i zobaczyła, co się stało, jakby mnie obudził z letargu. Uświadomiłam sobie wtedy, że stoję na powierzchni wody i w nią nie wpadam. Odwróciłam się w stronę brzegu, na którym zobaczyłam siostrę wyciągającą do mnie ręce. Ja się również wtedy przeraziłam. Bezwiednie jednak zrobiłam kolejny krok - tym razem już powrotny. But nie zagłębił się, lecz jak poprzednio wsparł się na czymś stałym. Dociągnęłam drugą nogę i byłam bliżej brzegu. Kolejny krok i trafiłam na rękę siostry, która z całej mocy targnęła moim ciałem i próbowała wyciągnąć mnie z wody. Ja, chcąc jej pomóc, oderwałam lewą nogę, a za moment drugą. Potężny sus i wsparcie siostry pozwoliły mi wylądować na ziemi.

Gdy po kilku minutach obie ochłonęłyśmy, poczułam w prawym buciu wilgoć. Spojrzałam na stopę i ze zdumieniem stwierdziłam, że jest zmoczona. Wtedy sobie uświadomiłam, iż w czasie odrywania prawej stopy od zbawczej podpory ona jakby pękła i woda dosięgła mojego buta.

Biedrzyczowianka z przypadku

WOLNOŚCI, ILE JEJ JEST

Ze zdumieniem stwierdzam, że coraz mniej mamy wolności. Dziś hasło wolność brzmi ironicznie.

I nie chodzi mi o abstrakcyjne, wielkie znaczenie tego słowa, ale o codzienną. Niektórzy, cynicy, chcą nam wmówić, że wolność to świadomy przymus. Dlaczego o tym chcę rozważać i pisać. Dlatego że spotkałem ostatnio w jednej wsi Ozarowszczyzny osobę starszą, samotnie mieszkającą kobietę, której życie bliskie jest niemal absolutnemu pojmowaniu wolności. Żyje bowiem jak chce, robi to, co chce robić. A egzystencja jej jest bardzo prosta i bardzo skromna. Niektórzy by powiedzieli, że uboga i prymitywna. Ona jednak taki model wybrała kiedyś może z przymusu, ale dziś jest z tego zadowolona. Powiedziała, że jest nawet szczęśliwa, choć mieszka sama i skromnie.

Do kościoła nie chodzi, gdyż ma teraz (wiek robi swoje) za daleko, ale Boga nosi w sobie. Nie ma telewizora ani radia, czyta tylko książki, gazet i czasopism nie używa, chyba że znajdzie przypadkowo na podpałkę. Na zarzut, że przecież nie ma kontaktu ze światem, odpowiada: po co? Przecież bez informacji można żyć. Skromna renta po zmarłym mężu całkowicie wystarcza do biologicznej egzystencji. Działka przydomowa daje własne warzywa i owoce, pozwala na kilkanaście kur. Do niedawna miała jeszcze krowę i zawsze w chlewi-ku stała świnia. Teraz już niepotrzebne. Starsza

pani mówi, że nigdy nie jest głodna, może sobie pozwolić na konsumpcję tego, czego pragnie. A że nie jest przyzwyczajona do frykasów i nowinek żywieniowych, więc nie ma z tego powodu żadnych stresów. Dom, w którym mieszka, jest również bardzo skromny, ale ma prąd i wodę bieżącą. Pali przede wszystkim drewnem, a tona węgla uzupełnia jej potrzeby ciepłe. Zdrowie trochę szwankuje, ale nie na tyle, żeby sobie samej nie radzić. Cieszy się bohaterka tego felietonu każdym darowanym dniem bez bólu, chłodu i głodu. Kobieta nie może się nadziwić z współczesnego narzekania. Odnosi swoją - jak twierdzi - dostatnią egzystencję do czasów dzieciństwa z międzywojnia. Wtedy to było głodno, chłodno i boso na glinianej polepie. Za pracą potrafili gnać i kilkanaście kilometrów. Teraz za 30 zł (za dniówkę) nie mogła doprosić się porąbania drewna. Bezrobotni wolą sterczeć pod sklepem i pić wino niż chwycić się za jakąś robotę. Twierdzi też, że dziś ludzie dali się omamić i zniewolić masą towarów, które są człowiekowi zupełnie niepotrzebne. Uważa, że nawet biedni ludzie na wsi poddają się biernie reklamom. Młode matki za ostatnie grosze kupują dzieciom „zachcianki” pokazywane w telewizji. A przecież żeby dobrze wychować potomstwo, wcale nie musi się schlebiać dzieciom. Dziwi się też moja rozmówczyni pychą współczesnych mieszkańców wsi: ucztami komunijnymi, weselami na kilkaset



par. Za jej czasów komunii miała bardzo skromny charakter. Rodzice nawet za bardzo nie wiedzieli, że ich dziecko przystępuje do pierwszej komunii. Nie było żadnych wykwintnych przyjęć, zdobnych sukien, prezentów. Wszystko rozgrywało się w „dziecinym serdusku”. Tak mocno, że wydarzenie to zostaje na całe życie. Dziś najważniejsza jest sukienka, prezenty i bogate przyjęcia. Boga coraz mniej - kończy smutno wynurzenia moja rozmówczyni.

Czy te poglądy przeciętnej, starszej mieszkanki wsi można potraktować tylko jako tęsknoty w stylu „panie, przed wojną to było”. Wydaje mi się, że zaprezentowana osoba ma większe poczucie autentycznej wolności niż niejeden młody liberal, strojący się w piórka nowoczesnego człowieka.

Józef

KARTKI ZE ŚWIATA

BOSTOŃSKIE ZAPISKI CZ. I

Oni tutaj rzeczywiście są trochę inni. Przede wszystkim spokojni, cierpliwi. To miłe zaskoczenie po doświadczeniach z urzędnikami w Polsce, we Francji zresztą też. W naszym kraju często bywa średnio miło, gdy trzeba coś załatwić. Człowiek ma poczucie, że jest intruzem. We Francji nie lubią obcych akcentów i lubią odsyłać od człowieka do człowieka, od pokoju do pokoju. Tutaj zaś, jeśli potrafia, to udziela informacji, załatwia sprawę. Są życzliwi, uśmiechnięci. Na powitanie, w 9 przypadkach na 10, uśmiech i owo „Hi”.

To bardzo ośmiela. Trzeba jednak uważać, bo mili są, ale tylko w ramach pytania. Raczej nie wychodzą z inicjatywą, by coś dodać, trzeba dopytywać „przyprzed do muru”. Idę np. na jakiś wydział i pytam, czy mogę dostać jakieś materiały na jego temat. Pani daje mi katalog. Rzucam okiem. Niewiele detali, raczej promocja. Z obawą, że się zdenerwuje, bo zwracam jej głowę - już zdążyła wrócić do swoich spraw - pytam, czy ma może plan zajęć na ten semestr. Wcale nie wkurzona zamyśla się i odpowiada: Tak, mam. Wydrukuję. Po chwili dostaję, co chciałam.

Jeśli chodzi o sprawy związane z funkcjonowaniem w otoczeniu, to - jako Europejczycy - musieliśmy zmienić nawyki. Inne gniazdko, o polski (pszenny czy razowy - nieważne) chleb trudno, kupujemy więc taki z typu niemieckich: ciemny, zafoliowany; no i ten prysznic... Bo nie ma tu rączek prysznicowych z węzłem, tak żeby można było ręką regulować kąt spływania wody. Nie, nie ma tak lekko. Prysznic unieruchomiony jest w ścianie, wysoko nad wanną, ponad głową, co sprawia, że samemu trzeba tańczyć pod sufitem. Tak więc nie ruszamy rączką od prysznic, ale sami się ruszamy w czasie mycia.

Inna rzecz ze sfery obyczajowej. W ogóle nie przywiązują wagi do stroju, estetycznej

oprawy. Ubierają się i tyle. Spodnie nie skrócone, tylko podwinęte, często nie prasują, zdają się nie myśleć, czy koszula pasuje do spodni (albo może myślą, tylko nie potrafią dobrać dobrze - tego jeszcze nie wiem). Tę niższe niż np. we Francji standardy estetyczne widać także w przeciętnych „osiedlowych” sklepach - są znacznie mniej dopracowane niż te, które pamiętam z Francji, czasem nawet mniej niż te z Polski. Mam na myśli trochę o ładną dekorację, wystawę sklepową itp.

Samo miasto, a właściwie miasta (Boston i Cambridge dzieli, a może łączy, rzeka) są pełne kontrastów: nieco nowoczesnych prawie wieżowców: sporo kamienic w londyńskim stylu. Bardzo ciekawe są te połączenia.

Mają tu też sporo domów w stylu „siding”, tyle że ładniejszych, bo ten siding tutaj jest z drewnianych, a nie plastikowych desek. W każdym razie wygląda na to, że moda na ten sposób obłożenia domu przeszła ze Stanów.

AMERYKAŃSKIE CIEKAWOSTKI Z BOSTONU

Jak kupić gazetę?

Najprościej przy ulicy. Tam bowiem, na brzegu chodnika, co kilkaset metrów ustawionych jest kilka blaszanych skrzynek - to nieskomplikowane maszyny sprzedające prasę. Każdy taki pojemnik przeznaczony jest na jeden tytuł. Jaki? To wiadomo na pierwszy rzut oka, bo w przedniej ściance takiego blaszaka znajduje się szyba, przez którą widać całą stronę pisma - od razu zatem można się zorientować nie tylko co do tytułu, ale i co do numeru, który akurat jest w sprzedaży. Kupić gazetę jest bardzo łatwo. Wystarczy wrzucić monetę odpowiedniej wartości do otworu w puszcze na pokrywie pojemnika, a maszyna uwalnia ze swoich zasobów jeden egzemplarz.

Są też pojemniki na prasę bezpłatną. Tu-

taj jest jeszcze prościej: trzeba tylko odchylić przednią ściankę, która w tym wypadku jest cały czas odblokowana, i pobierać gazetę. Blaszaki są oczywiście regularnie uzupełniane.

Jak się umyć?

Trzeba się nachodzić, a właściwie, mówiąc ściślej, nagimnastykować. A to dlatego, że amerykańskie łazienki nie mają ruchomych rączek prysznicowych - połączonych z elastycznym węzłem, umożliwiającym dowolną manipulację kierunkiem strumienia wody. „Ryjek”, z którego wypływa woda, umocowany jest w nich na stałe, wysoko ponad głową dokonującego obluści.

W efekcie człowieka wchodzi pod strumień wody jak pod wodospad i zaczyna „taniec”, by udzielić sobie oczyszczenia.

Jak się ubrać?

Nieźlą wskazówkę, jak się ubrać na wyjście z domu - tak, by się ani nie przechłodzić, ani nie przegrzać - daje termometr za oknem lub informacja o temperaturze powietrza z mediów. Tak i tutaj. Prognoza pogody jest stałym elementem amerykańskich wiadomości. Tyle tylko, że słuchaczowi z Europy trudno się z tych zapowiedzi zorientować, czy będzie zimno, czy ciepło. Niejasność wynika z tego, że w Stanach jako jednostkę mierzenia temperatury zasadniczo przyjmuje się nie stopień Celsjusza, ale stopień Fahrenheita.

Nie ma więc co wpadać w panikę przed upałem tysiąclecia, gdy przewidują plus 70 stopni. „Ich” 70 stopni, to „nasze”, mniej więcej, 21, a więc dla większości, temperatura optymalna. Nie należy jednak dać się „zwieść”. „Ich” 0 stopni bowiem to „nasze” minus 17. Trzeba zatem być czujnym. 0 stopni C jest równe plus 32 stopni F.

Jak korzystać z osiągnięć cywilizacyjnych?

W zasadzie tak samo, tyle że raczej ze sprzętu miejscowej produkcji. Dlaczego? Bo europejskie wtyczki nie pasują do tutejszych gniazdek. Amerykanie korzystają poza tym z innego napięcia elektrycznego. Nie warto zatem ściągać tu własnego telewizora, wieży Hi-Fi, suszarki czy czajnika elektrycznego. Nie zadziałają. Można oczywiście nabyć tzw. przełączkę, która, zapośredniczając przewodzenie, umożliwia współpracę niedostosowanych elementów. Rzadko kto jednak z niej korzysta, bo i niepraktycznie, i nieekonomicznie: akurat ceny tego typu dóbr, nawet w relacji do cen polskich, są niskie (sensowny, mały nowy telewizor można nabyć za mniej niż 100\$).

Jakie można zjeść jabłko?

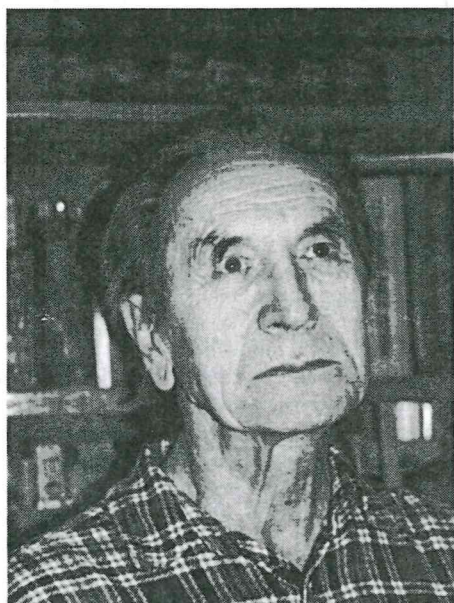
Amerykanie lubią każde spotkanie, imprezę okraszać możliwością konsumpcji (bufet towarzyszy tu nawet sprzedaży książek w księgarni). Ostatni sezon, przynajmniej w okolicach Bostonu, był szczególnie urodzajny w jabłka, owoc lubiany tu i ceniony. Co więcej: traktowany jako podstawa smakolek. Jednym z przysmaków jest jabłko w karmelu: owoc nadziany na patyk trzeba zanurzyć w rozpuszczonym karmelu, po czym wyjąć i, korzystając z przyczepności powierzchni tak potraktowanego jabłka, obsypać rozdrobnionymi orzechami. Takie jabłko sprzedaje się na okolicznościowych bazarach, np. z okazji Dnia Kolumba (8 października).

Anna Myjak-Pycia



Z REDAKCYJNEGO ARCHWIUM

Publikujemy nagrodzony w konkursie dziennikarskim reportaż Józefa Tarnowskiego z 1974 r. Autor, dziś emerytowany dziennikarz warszawski, wywodzi się z rodu ożarówskich korzeniach.

**Józef Tarnowski - SAGI POLSKIE (1974)
OBYWATEL SIMRAZY**

W połowie ubiegłego stulecia z podwarszawskiego Skaryszewa wyruszyło w Polskę trzech braci: Andrzej, Jan i Piotr Czapczyński. Osiedli w Ożarowie koło Opatowa. Zakupili ponad 200 mórg ziemi, pobudowali domy, poženili się. Chwaccy musieli to być młodzieńcy, a miejscowe dziewczyny dorodne, skoro obecnie ich potomkami można by zasiedlić prawie 2-tysięczne miasteczko. Stanowią ogólnie znane i szacowne rody Adamskich, Kwiecińskich, Cieszkowskich, no i rzecz jasna - Czapczyńskich. Młodzi rozjechali się po całym kraju. Są wśród nich lekarze, technicy, inżynierowie, księża, dyrektorzy, a poniekąd piastują urzędy nawet w Radzie Państwa. Ojcowie dożywają swoich ostatnich lat na ziemi przodków. Ziemi poszatkowanej spadkami na wąskie - niczym krawaty - pasma, z której wprawdzie żywić trudno, ale nie do pomyslenia, aby z niej zrezygnować.

Seniorem rodu Czapczyńskich jest jedyny żyjący wnuk protoplasty Andrzeja - 83-letni Stefan. Trafić do niego równie łatwo, co do miejscowego kościoła czy urzędu gminy. Zagadnięty przechodzień odpowiada bez namysłu:

- A, Simrazy! Na Kolejowej.

Wskazany dom w częściowej ruinie. Mieszkalna połowa bielona wapnem, kryta dachówką. Sklepiąca brama. Obok ławeczka. Do izby wiedzie obszerna pochyła sień. Pełno w niej węgla, jakieś worki. W kuchni

miast desek ubita glina. Nowoczesny kredens, na nim radio. W kącie nad umywalką haftowana makatka zachęca do mycia się zimną wodą. Pod ścianą wiekowa sofka. Nad nią olejny wizerunek świętej rodziny. Popękane płótno, rzeźbiona oprawa - kolekcjonerski rarytas. Przy piecu z okapem krząta się gospodyni.

- Mąż w pracy. Tylko go patrzeć.

Ale oto i on. Słusznej postury, kapota trzy - czwarte, spodnie wpuszczone w gumki. Otrzeźniałszy z deszczu maciejówkę, klapnął na krzesło, niby wór zboża zrzucony ze zdźwiganych pleców.

- Pogoda nie chce stanąć. Kartofle w polu gniją, a staremu pomóc to żaden interes. Dziadować chyba przyjdzie człowiekowi. Żeby tylko syn z Warszawy przyjechał. Obiecał.

Pijąc herbatę, gospodarz kątem oka obmacywał mnie niczym towar na jarmarku, za który przyjdzie włożyć żywą gotówkę.

- O czym tu gadać. Robota od świtu do nocy. Ot, żyje się i już. Przez godzinę życia nie opowie...

RODZINA

Ojciec Stefana, Jan - syn Andrzeja - kupił przy opatowskim trakcie plac i wybudował na nim dom. Okazały, 4 - izbowy, z ciosanego piaskowca - w owym czasie najwyższy dom w Ożarowie. Przyszło w nim na świat siedmioro rodzeństwa: Helena, przeżywszy nieszcześliwą miłość, wyemigrowała do Ameryki; Hanka wyszła za murarza, Józefa za handlowca, Marię pojął za żonę wiecznie wiecujący na okolicznych targach robotnik - socjalista. Zygmunt i Stanisław zmarli w dzieciństwie. Oskubana z ziemi gospodarka dostała się Stefanowi. W dwudziestej czwartej wiosnie życia ożenił się z Zofią Cz. - sierotą wysługującą się bogatym krewnym. Po trzech latach mieli już dwóch synów: Felka i Jerzyka. Przyszło im też przygarnąć pod swój dach bezdomną rodzinę Marii i Józefa.

- Józka ziemię sprzedała, bo chciała handlować. I przehandlowała. A mąż Marysi dowiecował się. Stracił posadę w mieście i z trojgiem dzieci nie mieli się gdzie podziać. A wkrótce potem Józka urodziła córkę, a Marysia nawet dwie. Wszystko

przez tę biedę i zgrzyotę.

I tak w czterech izbach zamieszkało 3 rodziny - razem 14 osób. Całą gromadkę żywił oczywiście Stefan. Bo to i brat, i gospodarz z ziemią.

- Ziemi było raptem dwa i pół hektara. No i Marysine półtora morgi, które dostała od ojca na wiano.

Mieli wspólną kuchnię, jedli z jednej miski.

- Najczęściej wtedy gotowało się żurek z kartofelkami, czasem kaszę jaglaną na mleku, bo mieliśmy jedną krowę, a już rosół z wołwki to był od wielkiego dzwonu. Chlebek piekło się samemu, raz na miesiąc, trzy tygodnie. Dzieciaki to najlepiej lubiały podplomyki...

NA DOROBKU

W 1929 roku Stefanom urodziła się córka Wiesława. Mimo to w domu było luźniej, bo Maria z rodziną przeniosła się do miasta, gdzie jej mąż dostał pracę w fabryce. Stefan zaczął dorabiać handlem.

- Gdzie mąż nie jeździł! Do Rachowa, Tarłowa, Lipska, Opatowa... Skupywał żywicę, a potem wspólnie z innymi wynajmował wagony kolejowe i wozili go do Katowic, Mysłowic... Raz się zarobiło, innym razem straciło. Jak to w handlu.

Zarobek najczęściej był dobry. Po paru wyjazdach na Śląsk Stefan kupił krowę, konia, wóz. Sielanka trwała krótko - siostra Maria wróciła na ojcowiznę.

- W fabryce były strajki. Mąż Marysi wywoził dyrektora na taczkach, a jak strajk upadł, to męża wyrzucili za bramę. No i wrócili na ojcowiznę.

KRYZYS

Pod dach Stefanów znów zajął niedostatek - tym większy, że miską stawy trzeba było obdzielić już dwadzieścia osób trzech połączonych rodzin.

- Akurat urodził się nam syn, Heniusz. Cała gospodarka na moich plecach, mąż wiecznie w rozjazdach - handlował. A zarobek żaden. Gospodarze sami nie mieli co do saganka włożyć.

Kryzys gospodarczy lat 1929-32 w Ożarowie przeciągał się. Okres ten w pamięci mieszkańców miasteczka utkwił jako lata nędzy. Stefanowie wspominają, jedno przez drugie:

- Jak kobiecie umarł mąż, to z dziesięciorgiem dzieci zostawała sierota. Poszła kopać do gospodarza i zarobiła na kartofle. A zimą - tylko umierać. Węgla nie było. Nanosiła z lasu zamrożonego chrustu, chuchała, dmuchała... i już południe, zanim się rozpałiło. Nagotowała żuru, do niego kartofli... Ej, nawet porównywać.

- Dawniej, to harówka od rana do nocy. Orać, siać, żąć, kopać, gnój wyrzucać, młócić - wszystko ręcznie. Tylko się pot lał po grzbiecie.

- Najgorzej mieli ci, co ich głód wygonił z miasta. Najemnicy. Żydom drzewo rąbali. Idzie taki drogą, nogami powłóczy, siekiere na ramieniu niesie i na palcach liczy: u Berka 30 groszy, u Joska 50 groszy. Ale wstanę jeszcze rano. Wstanę, pójdę, dorąbię! Może te buty sobie kupię...

- Był czas, że i Żydzi byli biedni. Nawet na szabas nie wynajmowali.

- Gospodarzom też nie było lepiej. Ziemia co lepsza, to dziedziców z Wyszmon-towa, Sobowa...

- A nasze dzieci, niebożęta, co użyły? Marysia bez przerwy je obszywała, a i tak świeciły gołymi dupinkami. Starsze pały krowy, niemowlęta nosiło się w zojdach na pole. Tyle miały uciechy, że skowronki nasłuchiwały się do woli.

- A dzisiaj?**PRZEŁOM**

W 1935 roku w życiu Stefanów nastąpił zwrot na lepsze. I to po części za sprawą, jak na owe czasy, nie byle kogo. Otóż w drodze z Lwowa do Warszawy zatrzymał się w Ożarowie ulubieniec Piłsudskiego, pułkownik Wieniawa-Długoszowski. Na rynku witał go największy wiecownik okolicy, który jednak w chwili szczególnego podniecenia zaciął się. Stojąc na taborecie, przemówił:

- W imieniu czcigodnych mieszkańców Ożarowa, witam pana i życzę mu wszy..., wszy..., wszy...

- No dosyć, dosyć tych wszów - przerwał Wieniawa.

Wieczorem, na uroczystej kolacji u miejscowego aptekarza, pułkownik wezwał niefortunnego mówcę. Rozpoznali się jako towarzysze żołnierskiej doli i niedoli z okresu I wojny światowej.

Wkrótce gościnny dom Stefanów opuściło dziewięć osób. Mąż Marii, ów właśnie niefortunny mówca, z gładem pułkownika w kieszeni wyjechał do fabryki. Tej samej, z której przed paroma laty wywoził dyrektora na taczkach. Tyle, że teraz był tam już inny dyrektor.

PROSPERITY

W Ożarowie kryzys dogorywał. Ruszyły dwa młyny, uruchomiono tartak, cegielnię, rzeźnię. Dwa razy w tygodniu odbywały się jarmarki, ożywiły się sklepiki. Magistracki herold obwieszczał wszem i wobec o zaciągu do pracy przy brukowaniu ulic - za godziwą opłatą. Pięciotysięczne miasteczko wrzało pracą.

Szansy poprawy życia swojej rodziny Stefan Czapczyński nie zaprzepaścił. Wszedł w spółkę z lokalnym specem od handlu żywcem. Na własną zaś rękę dorabiał końmi. Tygodniowo zarabiał 100 - 150 złotych. Fakt, potrafił też i stracić w miejscowym szynku, gdzie odbijał sobie z nawiązką lata niedostatku. Stać go jednak

było na kupno wialni, sieczkarni, najmowanie młócków. Wybudował nową stodołę, w chlewiku kwiczała spora trzódka.

- Mąż najął chłopaka do koni, ja dziewczynę do pomocy. Dzieci chodziły do szkoły, miały odświętne mundurki, a jakże - marynarskie. Dostawały na lody, landrynki, makagigi...

- Takiej trójki koni, jak moje, nie było w całym mieście!

Konie stanowiły o majątności i gospodarności właściciela, o jego randze społecznej w środowisku. Był więc Stefan osobistością miasteczka. Więcej - Obywatelem. A być Obywatelem, w opinii ożarówian, znaczyło wówczas tyle, co mieć tytuł szlachecki. W celu odróżnienia Stefana od licznych tu Obywateli Czapczyńskich, nadano mu przemiłostko: Simrazy. Stefan Simrazy z ociąganiem wyjaśnia pochodzenie przydomku:

- W czasie dobijania targu trzeba było szybko liczyć. Mnie, na przykład, poręczniej było mówić: sim razy pięć, czy ileś tam, zamiast siedem razy... Ludzie to podchwycili i tak zostało.

Będąc Obywatelem Simrazym, Stefanowi wypadało uczestniczyć w świątecznych majówkach. Gdy zboże stało w mendlach, a pogoda dopisywała, to po niedzielnym rosole z pieprzem i kluszczkami zaprzęgał konie do półkoszka i z wystrojoną rodziną wyprawiali się do Lasu Bidzińskiego, czasem do Borowni nad Kamienną. Bławatki i kąkole pachniały im inaczej niż z własnych pól, słońce nie doskwierało jak w czasie košby, a i rzeczka przy młynie pluskała niczym potoki w Tatrach, o których dzieci miejscowego doktora cuda opowiadały. Cieszyli się życiem.

- Wiodło nam się niezłe. Nowy dom mieliśmy stawiać. A tu wojna.

OKUPACJA

Najpierw Szosa Sandomierską przedrep-tał konwój skutych parami więźniów ze Świętego Krzyża, potem od pobliskiego Drygulca na furmankach przywieźli szczątki żołnierzy ze zbombardowanego eszelonu, potem uchodziły nasze wojska, wreszcie stało się... do Ożarowa wkroczyły oddziały niemieckie.

- Nie strach, bo w życiu nie jedno się przeszło, ale żal niemocy gardło dławił, gdy te ich czołgi dudniły po bruku...

- Co potem? Potem zarządzenia, pouczenia, nakazy - to wolno, tego nie wolno, to się musi - i tak dookoła...

- Pokolczykowali wszystkie świnię, krowy, wyznaczali kontyngenty na zboże, kartofle... Człowiek nawet nie wiedział, czy własny dom jego jest.

Wszelkie odruchy obrony likwidowane były terrorem. O obowiązkach względem okupacji władzy co oporniejszych gospo-

darzy żandarmi pouczali kolbą. Po takich lekcjach gospodarze coraz lepiej ukrywali swoje plony.

- Cóż było robić? Żandarmi i granatowi weszli jak wściekłe psy. Co i raz komus spalili stodołę. Za nic mieli ludzi.

Terror wzrastał. W trzecim roku okupacji gestapo przeprowadziło akcję zagłady czterotysięcznej ludności żydowskiej miasteczka.

- Urządzali na Żydów polowania. Złapanych pędzili na kirkut. Tam w nich strzelali. Szloch słycać było okrutny! Że też ich płacz nie dosięgnął niebios!

Mysleliśmy, że teraz kolej na nas. Wielu młodych poszło do partyzantki. Nasi chłopcy nie. W domu ktoś musiał zostać, koło gospodarki chodzić, ziemię uprawiać.

Z pięciu mórg lichej ziemi wyciskali plony, aby po kontyngentowym haraczu coś niecoś zostało do garnka. Stefan kościł, snopki wiązał, gospodyni zbierała pokosy, chwast dźwigała, gotowała, starsi synowie młótili, orali. Wiesia pilnowała 2-letnią siostrzyczkę Basię, Heniusz pasał krowy.

- Jak on tę krowę wyuczył! Inni to swoje z krzywdy musieli wyganiać, a Heniusz tylko krzyknął: Granichaaa! Już była przy nim.

- Feluś z Jerzykiem to tylko przy koniach. Po ojcu. Wiecznie się awanturowali, który z nich ma iść pławić kasztanka w sadzawce.

Po okresie znośnego spokoju w 1944 r. żandarmi wzmogli łapanki na roboty do Niemiec. Partyzanci odpowiedzieli walką zbrojną, a gdy front zbliżał się do Wisły, wezwali ludność do wstrzymania świadczeń. Wycofujące się wojska niemieckie zastały pusty Ożarów. Gospodarze z dobytkiem schronili się w lasach. Stefan z synem Jerzykiem zostali.

- Niemcy uciekali, zaczęły się naloty. W zawalonym domu zginał szwagier, spłonęło w mendlach żyto. Potem syn, Jerzyk, poszedł mnie szukać po lasach. Męża Niemcy wzięli pod front do kopania okopów, ale jak doszli pod Karsy, to im uciekł i już.

Po dwumiesięcznym pobycie w lesie rodzina Stefana wróciła do wpółburzonego domu. Okna załatali deskami, dach skrawkami blachy. Szafa i łóżka szczęśliwie ocalały.

- Ubiłiśmy jałówkę, zebrało się trochę z pola...

W połowie stycznia 1945 roku Ożarów został wyzwolony. Żołnierzy radzieckich młodzi witali uśmiechem, Stefanowie łzami ulgi. Chleba, niestety, nie starczyło.

DZIECI

FELIKS. Uciekając przed zsyłką na roboty do Niemiec w 1944 r., skrył się w Starchowicach. Zamieszkał na stacji, pra-

cował w miejscowych zakładach. Po wyzwoleniu wyjechał do szkoły przemysłowej na Śląsk. Zdążył przedtem jako tako ogarnąć dom, pomógł przy pierwszych powojennych żniwach. Po dwuletniej nauce przeniósł się do Warszawy. Dostał pracę w fabryce jako narzędziowiec. Mieszkał w gruzach na poddaszu, a gdy jego „dom” poszedł pod kilof, wynajmował pokojiki z ogłoszenia. W 1959 r. do nowego, 3-izbowego, własnościowego mieszkania sprowadził z rodzinnego Ożarowa dopiero co poślubioną Elżbietę. Dochowali się dwóch synów. Dobrze zarabia. Ożenił synów, został dziadkiem. Wiele się od tej pory w jego życiu zmieniło, ale urlopy i co ważniejsze święta spędza, jak dawniej, pod rodzinnym dachem.

JERZYK. Skoro Felek odszedł do miasta, stał się prawą ręką ojca, upatrującego w nim swojego dziedzica. Ożenił się w 26 wiosnie życia. Pięć lat później osierocił troje dzieci. Matka swoją miłość do syna przełała na wnuki: - Jeden jak dąb, odsłużył wojsko, założył rodzinę. Drugi ukończył w Ostrowcu zawodówkę, taki zdolny! Pracuje w ośrodku maszynowym. Kierownik wyrzucił już wielu, jego nie. Spawacz. Dobrze zarabia. Też żonaty. Wnuczka ukończyła technikum włókiennicze. Została w mieście, wyszła za męża. Od całej trójki mam prawnuki. Przychodzą do mnie z kwiatkami.

WIESŁAWA. Łzy matki widziała nieraz, ale tamte, gdy stały na stacji w Jasiarach, były błyszczące, wielkie i nie opadały z oczu. Miała wtedy 19 lat. Wyjeżdżała we Wrocławskie. Zaczepiła się u krewnych, za których namową została pielęgniarką. Ukończyła szkołę, zamieszkała w służbowce Wiejskiego Ośrodka Zdrowia. Poślubiła Józefa - mistrza krawieckiego. Przeprowadzili się do Świdnicy. Tam owdowiała. Pozostała z dwoma synami. Dała im szkoły. Pożeniła ich. Ma już czworo wnucząt. Strony rodzinne odwiedza raz w roku, listy do domu wysyła raz w miesiącu. Matka czyta je codziennie.

HENRYK. Lekcje samodzielności pobierał od najmłodszych lat. Zimno, nie zimno, ledwie świt, w kapocie starszego brata, z pajdą chleba w garstce siedmioletni brzdąc szedł z krową - Granichą - na pole. Ze szkoły przynosił same piątki, gorliwie pomagał ojcu w odbudowie domu, a gdy przypadkiem - jako kilkunastoletniemu chłopcu pierwszy raz w życiu przyszło mu stanąć na prawdziwej lekkoatletycznej bieżni, aż do samej mety dotrzymywał kroku znanemu już wówczas Witoldowi Baranowi. Lubił zwiędzać okoliczne miasta. Po kolejnym wyjeździe do Ostrowca oznajmił rodzicom: - Jadę do Wrocławia, zostań technikiem. I pojechał. Ukończył tech-

nikum, otrzymał pracę w wielkim zakładzie przemysłowym. Jako wyróżniający się specjalista wyjeżdża na zagraniczne delegacje. Ożenił się, ma troje dorosłych dzieci, wszystkie po szkołach, pracują. Od wszystkich ma już wnuki. Zamierza z wszystkimi wybrać się do prababci.

BARBARA. Słuchaj się brata! Pisz do domu! Z głową pełną przestrogi i nakazów czternastoletnia Basia jechała po nauki do Warszawy. Wybrano jej zawód chemika. Przymięła ją ciotka, bo brat Felek nie miał jeszcze wtedy mieszkania. Życie w Warszawie było drogie. Do domu pisała o 200, dostawała 500 złotych. Wiele razy była bliska załamania, chciała wracać do matki. Otuchy dodawali jej koledzy z ławy szkolnej. Wytrwała. Skończyła Technikum Chemiczne, dostała pracę. Wkrótce też wyszła za męża. Mają dwie córki. Jedna już zamężna, ma córkę. Mieszkają we własnym M-5. Jeżdżą własnym volvo.

WSPÓŁCZESNOŚĆ

Na obrzeżach miasteczka nowe bloki, nieopodal wielka cementownia „Ożarów”, w rynku nowoczesny Wiejski Dom Towarowy, kawiarnia, kino... W planach: basen kąpielowy, kanalizacja, oczyszczalnia ścieków... W marzeniach naczelnika gminy: łazienki dla wszystkich. Dosiąść buldożera i przeorać wszystkie rudery miejskie - jeszcze z okresu wojny. Miałbym satysfakcję, że dokonałem dzieła.

Dom rodzinny. Dawniej najwyższy w miasteczku i okazały - trwał wrośnięty w ziemię na skutek co i raz podwyższanej jezdni. Zmalała, zszarzała wobec młodszych sąsiadów. Jest dokumentem lat, w których niedzielny rosół z wołówki był symbolem dobrobytu.

- Gdzie, jak gdzie, ale u nas w Ożarowie widać zmiany na lepsze. Choćby te wyfaltowane ulice. Przedtem po deszczu robiły się bajory, że tylko się utopił.

Za to z wodą pitną było krucho. Jeszcze w 1939 roku z czterech magistrackich pomp, nie licząc studni u bogatych gospodarzy, korzystało ponad 5 tys. ożarówian. Dziś hydrant co kilkadziesiąt metrów.

- Z węglem kłopot, a i w sklepach pustawe półki. Za świeżym chlebem też trzeba postać. Zresztą, mnie starej wiele nie potrzeba.

- Biednych nie widać. Robotę jeden z drugim ma, dzieci do pasania krów nie wysyła, szkołę im daje...

- Młodzi na co dzień ubrani jak od święta. W ośrodku maszynowym zarobią, w geesie, w księgowości zarobią. Na dodatek mamy cementownię. Ile tam narodu pracuje!

- Nie brak i takich, co wiecznie stoją pod gospodą. Co będą tam robić! Mogą inni. Niech robi ten, co ma gospodarę - jeden z

drugim powiada. Ja mam czas - powiada.

Niedziela. Stefan skubie kogutka. Widać zbyt go sparzył, bo skóra zlaży z piórami. Pani Zofia drapaką podmiata izbę. Przy piecu przeciąga się kot. Przez uchylone drzwi zagląda kury. Na dworze listopadowa plucha.

- Sio! Po co tu, po co. A sio!

- Nie wiecie się nam w tym roku. Deszcz i deszcz. Na początku żniw mąż widłami odgniół sobie rękę. Spuchła jak bania. Ledwie wydobrzył - spadł z wozu i bok sobie potłukł. Potem miał wypadek w czasie spędu. Teraz wykopki, maszyną w pole nie wyjedzie, ludzi trzeba było nająć, zapłacić.

Jakoś sobie radzą. Syn Feliks przyjedzie, wnuczki przyjdą, pomogą.

- Żeby tylko było zdrowie, to nie damy się biedzie. Jajek nie kupię, mleczka udaję, zaniosę do spółdzielni. W miesiacu dostanę tysiąc złotych. Teraz krowa cielna. Cielaka sprzedam. Któż miałby siłę chować dwie krowy?!

W tym swoim szarym codziennym życiu mają też chwile szczególnie miłe. Ot, choćby ŻŁOTE GODY. Przyjechały na nie wszystkie dzieci z wnukami. Wiesława z Henrykiem chcieli zaprosić Naczelnika Gminy, nawet Wojewodę. Ostatecznie świętowano w gronie rodzinnym. Uznanie, iż nie ma odpowiednich warunków lokalowych.

- Gości zjechało jak na wesele. Wiesia przywiozła różności. Były sardynki, serniczka, ciasteczka, tort... Co na świecie, to było! Dobre mamy dzieci. Pamiętają o nas.

- A Heniusz mówi, że gdyby tu zamieszkał, to by z domu jeszcze wilę zrobił.

- Ale czy wróci?

Na razie od syna Henryka nadszedł list: „W pierwszych słowach naszego listu serdecznie Was pozdrawiamy i życzymy wszystkiego dobrego. Zasmuciła nas wiadomość o wypadku Tatusia i Waszym ciężkim losie i życiu. Myślę ciągle o tym, co będzie dalej i nic konkretnego nie przychodzi mi do głowy. A może Wy kochani macie jakiś pomysł i gotowi jesteście się na coś zdecydować, to proszę napisać. Wszak jesteście Waszymi dziećmi i wspólnie winniśmy tę sprawę rozwiązać. Na razie uradziliśmy z Felkiem, Wiesią i Basią wspomagać Was nieco finansowo. Ja zadeklarowałem sumę 400 zł miesięcznie. Pieniądze te są moim dodatkowym zarobkiem i stać mnie na to, aby wreszcie coś dla Was zrobić. Jest to dużo za późno, ale trudno, przysłowie mówi: „lepiej późno niż wcale”. Myślę, że po tym wyjaśnieniu nie będziecie mi robić wymówek. Odpiszcie nam, jak udały się wykopki i wszystko o sobie, bo wszystko nas interesuje”.

Chcąc rozszerzyć tę historyczną relację, posyłam opis wywiadu, jaki przeprowadziła Szkoła Podstawowa w 1980 r. z moją śp. Mamusią. Jako naoczny świadek wiele cennych wiadomości przekazała w tym wywiadzie uczniom Szkoły Podstawowej w Glinianach.

Przy tym słu do redakcji dowód osobisty mojej Mamusi, jakim się posługiwała w czasie okupacji. Zaświadczenie wydał urząd miny w Wólce Lipowej. Stanowisko Wójta dzierżył wówczas śp. F. Świątek.

Wywiad z najstarszą mieszkanką Glinian, przeprowadzony przez uczennicę Szkoły Podstawowej w roku 1980, Dorotę Kończyk.

Mieszkanka owa to Julianna Ogonowska ur.1895 r. w Glinianach. Żył

Listy od Czytelników

WSPOMNIENIE O MOJEJ MAMIE

Serdecznie dziękuję za przyslaną książkę pt. „By nie zatarł ich czas...”. Książka p. Marka Lisa to duży szmat historii o Polsce, a w szczególności, o regionie ziemi opatowsko-sandomierskiej. Jak mówią zapisy w tej książce, ziemia gminy ożarówskiej i jej okoliczne gminy przeżywały tą gehenną wojenną. Moja miejscowość Gliniany, wojny obie, przeżyła bardzo tragicznie. Sam jako już chłopiec 6-7-letni, mogłem widzieć ślady z I-szej wojny światowej. Po polach gliniajskich porozrzucane były odłamki różnych porozrywanych pocisków. Były tzw. duże „gibry” armatnie, stalowe i mosiężne. Do tego dość dużo było na polach kulek ołowianych, które wystrzelone z armat, i rozerwaniu się pocisku, raziły żołnierzy. Dla nas była to frajda, uciecha, kiedy się dużo lotek uzbierało. Paliło się ognisko, topiło w starym garnku i odlewało się różne figury. Szczególnie robiliśmy laski z twardego drewna, a do trzymania laski właśnie odlana była spora gałka, na końcu laski „palki”. Lotki służyły też do lutowania garnków i wielu innych przedmiotów. Uważam, że ta cenna książeczka p. Marka Lisa, winna znaleźć się w każdym domu, a nawet mogłaby mieć miejsce w podręczniku szkolnym naszych szkół.

Chcąc rozszerzyć tę historyczną relację, posyłam opis wywiadu, jaki przeprowadziła Szkoła Podstawowa w 1980 r. z moją śp. Mamusią. Jako naoczny świadek wiele cennych wiadomości przekazała w tym wywiadzie uczniom Szkoły Podstawowej w Glinianach.

Przy tym słu do redakcji dowód osobisty mojej Mamusi, jakim się posługiwała w czasie okupacji. Zaświadczenie wydał urząd miny w Wólce Lipowej. Stanowisko Wójta dzierżył wówczas śp. F. Świątek.

Wywiad z najstarszą mieszkanką Glinian, przeprowadzony przez uczennicę Szkoły Podstawowej w roku 1980, Dorotę Kończyk.

Mieszkanka owa to Julianna Ogonowska ur.1895 r. w Glinianach. Żył

94 lat.

1. Co pamięta Pani z okresu I-szej wojny światowej?

Opowiada ona o czasach sprzed 66 lat. Pierwsza wojna rozpoczęła się, miałam 19 lat, w 1914 roku. Już w 1913 roku ludzie mówili o wojnie. Nad Polską latały balony, z których nieraz spuszczały się szpiedzy. Gdy wybuchła wojna, ludność z nakazu kopała okopy i ziemianki, tzw. „blendarze”. Wokół rowów, blendarzy, ustawiono popłatane druty kolczaste szerokości od 1-2 metrów.

2. Czy były jakieś walki w okolicach Glinian i kto je prowadził?

Gdy wojna się zaczęła, najpierw do Glinian przyjechały patrole austriackie, a później rosyjskie. Na polach koło Glinian doszło do walki. Było 8 Austriaków i 16 ruskich żołnierzy. Ruscy żołnierze w walce na szable zabili 6 żołnierzy austriackich, dwóch z nich zdołało uciec i ukryć się w Glinianach u mieszkanka Andryki. W Glinianach w owym czasie mieszkała rodzina żydowska. Ojciec żydowskiej rodziny przeskarżył o ich ukryciu i Rosyjanie zabili ich w pobliskim lesie.

3. Co robili tu Austriacy?

Gdy później wkroczyło wojsko austriackie, mściło się za to, że wydano ich braci z ukrycia. Wydano zarządzenie, aby ludność stawiała się na rynku. Kazali siadać, każdy plecami do siebie, nie wolno było rozmawiać, a żołnierze otoczyli ludzi dookoła z bronią gotową do strzału. W owej chwili oczekiwania odbywał się sąd w tej sprawie wojskowy w Ożarowie. Dzieci nie wiedziały, co to oznacza biegały dookoła. Pod wieczór przyjechał goniec z sądu z Ożarowa z wyrokiem. Wyrok był następujący: będzie ukarana rodzina, która wydała żołnierzy z ukrycia i rodzina, u której znaleziono siodło konne żołnierzy austriackich. Ludność uwolniono i kazano wracać do domu. Po krótkim czasie wojska, które okupowały Gliniany, podłożyły ogień w cze-

rech rogach Glinian i całe Gliniany uległy spaleni, oczywiście zabudowa była drewniana. Cudem ocalał drewniany kościółek z XVII wieku, który do chwili obecnej stoi, dzięki opiece władz kościelnych, świeckich i ludności Glinian oraz parafii. Część ludności wojsko zagarnęło i wypędzono do Rosji do gubernii kijowskiej. Julianna Ogonowska z rodziną przebyła tam 3 lata, osiedlona w majątku rodziny Państwa Branickich. Po skończeniu pierwszej wojny światowej szczęśliwie powróciła do domu.

4. Czy pamięta Pani wybuch drugiej wojny światowej?

Druga wojna wybuchła 1 września 1939 roku. Niemcy wkroczyli do Glinian 5-6 września. W czasie swego panowania wojny pozabierali całkowicie dobytek, krowy, konie i trzodę chlewną. Powstał głód, kobiety z płaczem błagały o zwrot krowy, lecz Niemcy byli nieubłagani. Podczas nalotu w 1944 roku przez samoloty radzieckie znów spłonęła północno-zachodnia część Glinian.

5. Jaki był tu ruch partyzancki?

Ludzie prześladowani przez Niemców ukrywali się również w lasach, których wokół Glinian jest dużo. Tak powstała partyzantka, która dokuczała Niemcom, a pomagała swym ludziom. Niemcy zabili kilka rodzin cygańskich, którzy przebywali podczas okupacji w Glinianach. Mordu dokonali w dzień, w pobliskim lesie, tam jest zbiorowa mogiła cygańska. Młodzież ukrywała się, mimo to Niemcy urządzali łapanki i dużą część młodych chłopców i dziewcząt wywieziono na przymusowe roboty do Niemiec.

6. Gdzie chodziła Pani do szkoły i jak odbywała się nauka?

Chodziłam do szkoły, gdy Polska była pod zaborem, za panowania carskiego w Rosji. Uczono tylko zimą, przez trzy miesiące. W szkole była jedna nauczycielka Regina Kwiatkowska, uczyła po rosyjsku i po polsku. Również dzieci uczyły się prywatnie. Uczyłam się prywatnie u p. Kubickiej.

7. Pamięta pani jakąś wizytację w szkole?

Gdy przyjechał inspektor, uczono po rosyjsku, a gdy odjechał po polsku.

8. Kogo Pani jeszcze pamięta z nauczycieli?

Na drugą zimę przybył do Glinian nauczyciel Wacław Burzyński, również dok. na nast. str.

Listy od Czytelników

Szanowny Panie Redaktorze!

Znad lektury wrześniego „Ozarowa” (i poprzednich) kieruję do Pana kilka myśli.

Przede wszystkim ślę słowa podziękowań za przybliżenie czytelnikom w regionie naszych inicjatyw oraz za zachętę do ich kontynuowania. Miło mi poinformować, iż spotkały się one z zainteresowaniem również tu w Warszawie.

Następnie na Pana ręce kieruję podziękowanie do p. Wiesława Chmielewskiego - jego szpalty strażackie również wertuję - za artykuł o znakomitym pedagogu i społeczniku p. Włodzimierzu Kwiecińskim. Początkowe klasy szkoły podstawowej kończyłam, gdy był jej kierownikiem w Jakubowicach. Syn jego docierał do naszego domu w okresie okupacji. Z artykułu dowiedziałam się o tragicznych losach tej rodziny w okresie powojennym...

Z aplauzem witam podjętą przez Pana problematykę żydowską! W historii Ozarowa przecież to tak znaczący wątek. Dobrze, że nie przepadnie dzięki temu w mrokach dziejów.

Na koniec przyznam się, że szukam w każdym numerze, czy nie pojawi się jakiś ślad informacji dotyczącej haniebnego morderstwa pp. Wójcików w Grochocicach w czasie okupacji, o co z apelem zwrócił się syn pp. Wójcików na łamach lipcowego numeru Ozarowa. Pp. Wójcikowie byli zaprzyjaźnionymi sąsiadami moich Rodziców, współpracowali w pracy konspiracyjnej. Byli to szanowani ludzie, patrioci. Czy skrytobójcy ujdą bezkarnie?...

Życzę Panu i całej Redakcji dalszej twórczej i owocnej pracy.

Maria Drozdowiczowa

Szanowny Panie Redaktorze!

Już kiedyś Pana informowałem, że zupełnie przypadkowo mój przyjaciel i dalszy kuzyn z Sandomierza, Czesław Kołodziejski, odwiedził mnie w Warszawie i wręczył mi numer „Ozarowa” poświęcony Czachowowi, miejscowości, skąd pochodził Czesław, a także moja mama. Zwróciłem się do Pana zapytaniem, czy był jakiś numer poświęcony Glinianom i z prośbą o jego wysłanie. Bardzo się ucieszyłem z jego otrzymania i innych, które systematycznie otrzymuję. Mówi się, a własne doświadczenia to poświadczają, że im człowiek starszy, tym częściej powraca do lat dziecińczych i miejsc rodzinnych, które z każdym rokiem stają się coraz czulej wspomnianą „małą ojczyzną”. Wspomnienia wywołują mnóstwo różnych uczuć. W moim przypadku na skutek ciężkiego wypadku i bardzo długiego przebywania daleko od stron ojczystych, rodzinnych pamięć nieco zatarła wiele nazwisk i imion, ale każdy numer „Ozarowa”, poświęcony różnym miejscowościom Ozarowszczyzny, odświeża nieco zamuloną pamięć i ją odkurza. W sumie ją odżywia i każde tam wymienione nazwisko, zdarzenie lub miejscowość, pozwala na różne skojarzenia i przypomnienia sobie nazwisk i zdarzeń, które nadpsuta pamięć zatarła.

Z tych to powodów tak istotnych dla ludzi w moim wieku tego rodzaju pisma spełniają bardzo ważną i trudną do opisanego rolę. Chcę zatem tą drogą podziękować sponsorom „Ozarowa”, a Panu - Panie Redaktorze - nie tylko podziękować za piękne w treści, szacie pismo i życzyć wytrwałości w kontynuowaniu tak pożytecznego dzieła i dalszego przybliżania miejsc i ludzi pochodzących z Ozarowszczyzny, rozsianych nie tylko po całej Polsce, ale i po całym świecie.

Pozdrawiam wszystkich, którzy czuwają nad „Ozarowem”.

Romuald Kończyk

(zachowano oryginalne brzmienie słów)

Podziękowanie

Dzieci x Publicznego Przewodnika w Lasocinie dziękują sponsorom:

- proboszczowi parafii w Lasocinie - księdzu Mirostawowi Frączkowi
 - państwu Ninio i Sylwestrowi Bronkom - właścicielom sklepu w Lasocinie
 - panu Henrykowi Drabikowi - właścicielowi piekarni w Lasocinie
 - państwu Joannis i Jeronemu Ciciurom - właścicielom sklepów spożywczych w Ozarowie
- na ufundowanie upominków mikołajkowych*

OZARÓW PISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE SAMORZĄDU GMINY OZARÓW

Wydawca: P.H.U. SZOSTAKDRUK. Adres redakcji: Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Ozarowie, ul. Stodolna 3. Redaktor naczelny: Józef Myjak PAIR Myjakpress. Redakcja: instruktorzy M-GOK, Marcin Kwieciński, Marian Sus, Janusz Czuba, Wiesława Mroczek, Korekta: Janusz Czuba. Foto: M. Sus, J. Myjak DTP i druk: „SZOSTAKDRUK”

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, korekty gramatycznej i ortograficznej oraz ograniczonej ingerencji w stylistykę poszczególnych wypowiedzi.

dok. z poprz. str.

mnie częściowo uczył. Był wymagający. Uczniowi z tych szkół pracowali po skończeniu nauki w gminie, powiecie, na poczcie i w innych urzędach.

Mamusia moja była nieprzeciętną osobą i matką. Przeżyła swoje lata w trudnych, ciężkich warunkach życiowych. Dwie wojny światowe, spalone mienie, zrabowane. To były okropne tragedie jej życia losu. Wygnanie to przyczyną pierwszej wojny. Ciężkie czasy okupacji niemieckiej przeżyła już jako wdowa. Sam się zastanawiam, nieraz o jej wytrwałości, samotnym życiu jako wdowa tyle lat. Tatusz zmarł w 1938 roku. Ja miałem 17-18 lat. Mamusia była silnej woli, mocnej wiary i ducha w Pana Boga i jego wskazówek. Z wiarą z kościołem, mimo dużego obowiązku, była związana niesamowicie. Pewno dzięki tej szkole za cara zdobyła wiele zdolności. Znała dużo opowieści, wierszyków, lubiła czytać książki świeckie, kościelne, umiała dużo pieśni religijnych, niektóre po łacinie. Nieraz organista w owym czasie prosił Mamusię o pomoc w śpiewie danej pieśni. Pamiętam, że do nas dzieci, a było nas czworo do wychowania, odnosiła się spokojnie, bez agresji, co u mnie również to zaowocowało, bo też wychowałem czwórkę dzieci i dumny jestem z ich postępu w życiu swoim. Uważam, że moja mamusia to jest częścią historii, którą ja otrzymałem od Niej na żywo. Inaczej się odbiera czytanie, a inaczej jak ktoś przekazuje aktualne przeżyte oświadczenia swoje przeżycia. Moje osobiste życie również od lat dziecięcych upodabnia się do przeżycia mojej nieżyjącej od trzech lat Mamusi. Można śmiało powiedzieć tu to przysłowie: „jaka mać, taka nać”. Od rodziców najwięcej roli odgrywa wychowanie dzieci, a później szkoła i kościół. Gdy jest dobra rodzina, jest się dumnym, a z dobrych rodzin winien wywodzić się i składać rząd, a przy nim i dobre, i bogate państwo powstanie.

Szczęść Boże!

Jan Ogonowski

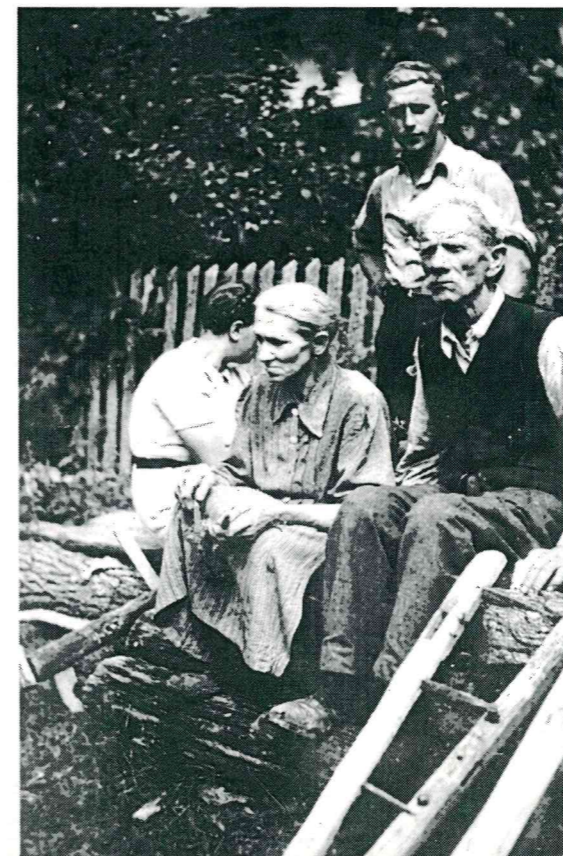
(w całości tekstu zachowano oryginalny styl wypowiedzi Autora oraz specyficzną składnię)

CZAS ZATRZYMANY NA KLISZY - JANOPOL

ze zbiorów rodzinnych Kamięńskich



Rodzina Kamięńskich - lata okupacji niemieckiej



Rodzina Kamięńskich - lata okupacji niemieckiej



Kazimiera Kamięńska



Matka Jana Kamięńskiego



Rodzina Kamięńskich - lata 50.



Jan Kamięński podczas pędzenia i degustacji bimbru w czasie okupacji



1



6

MIĘDZYNARODOWY SUKCES

Przyroda to niewyczerpane źródło wielkich darów, z którego człowiek może świadomie i mądrze korzystać. Świat przyrody szczerze dzieli się z człowiekiem, a człowiek z szacunkiem powinien oddawać to, co należne przyrodzie. Szanujmy zatem określony porządek w różnych zakątkach kuli ziemskiej, jej strefy klimatyczne, wschody i zachody słońca, błękit nieba, zielenie dżungli, pory roku, szanujmy wszystko, co żyje obok nas. Szanowni uczestnicy konkursu, nadsyłając tak wiele prac plastycznych, udowodniliście po raz kolejny, że te problemy Was interesują...

Takie podziękowania uczestnikom XI Międzynarodowego Konkursu Twórczości Plastycznej Dzieci i Młodzieży pn. „Zawsze zielono, zawsze niebiesko” przysłała do Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury w Ożarowie Dyrektor Galerii w Toruniu, p. Zofia Karpińska.

Na zajęciach w kole plastycznym przy M-GOK dzieci wykonały kilkanaście prac w różnych technikach. Z tych prac wybrałam kilka, które, moim zdaniem, mogłyby wziąć udział w imprezie na skalę międzynarodową. Piękne obrazy, przedstawiające świat przyrody, ludzi w nim żyjących, zwierząt, śpiewających ptaków i owadów wykonały: Magdalena Musiał, Marta Malinowska, Magdalena Lewkowicz, Weronika Dziewirz, Eliza Peplińska, Ewa Skoczylas, Mariusz Osóch, Kasia Osóch, Ewelina Kołodziejczyk, Jacek Zdybski.

Na konkurs nadesłano 31.375 prac z 63 krajów. Do zestawu wystawowego zakwalifikowano 1.172 prace z 60 krajów, w tym dwie prace uczestniczek z Ożarowa - Elizy Peplińskiej oraz Eweliny Kołodziejczyk. Wyróżnione, Eliza i Ewelina, będą mogły odebrać piękne dyplomy i katalogi z wystawy podczas przedstawiania tegorocznego Dorobku M-GOK 15 XII 01 w sali widowiskowej.

Gratuluję i życzę więcej takich sukcesów!

Instruktor plastyki w M-GOK
Eleonora Czuba

AUTORZY PRAC

1. Monika Dziewirz - lat 9
2. Magdalena Lewkowicz - lat 11
3. Jacek Zdybski - lat 11
4. Marta Malinowska - lat 11
5. Ewa Skoczylas - lat 10
6. Eliza Peplińska - lat 10
7. Magdalena Musiał - kl II L.Z.
8. Jadwiga Głębińska - lat 13
9. Mariusz Osóch
10. Ewelina Kołodziejczyk - lat 11



2



3



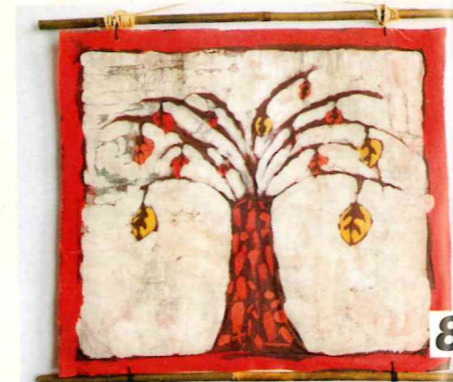
4



5



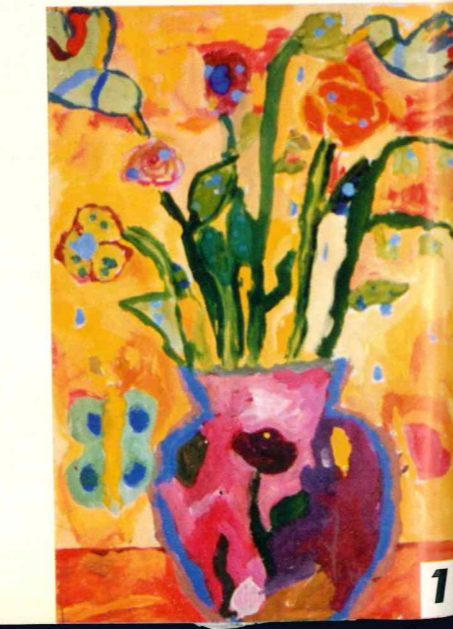
7



8



9



10

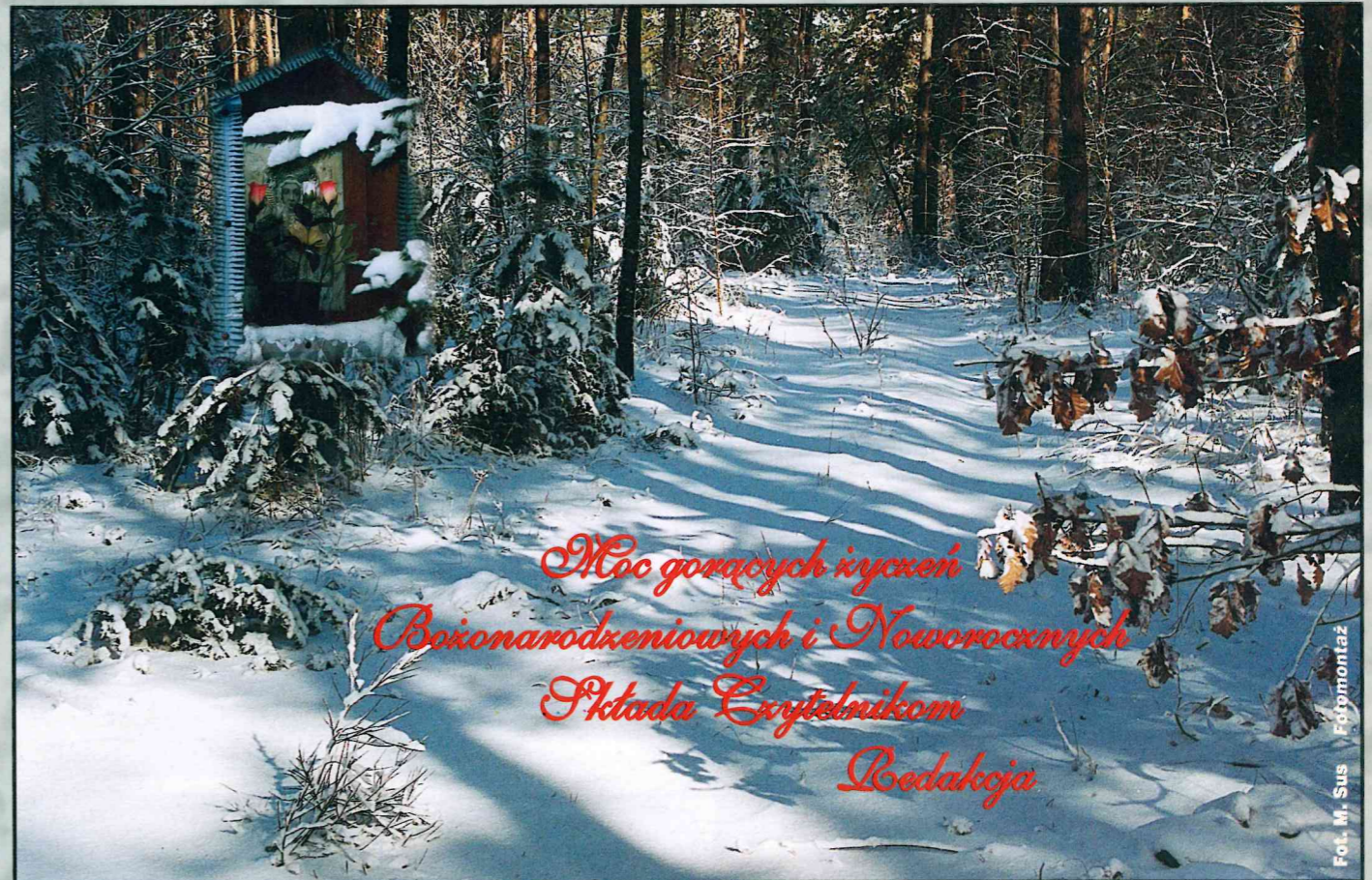
OŻARÓW

Samorządowe pismo społeczno-kulturalne

Nr 12/32 grudzień 2001 Rok III ISSN 1507-7438 Nakład 1000 egz.



© PAIR MYJAKPRESS



*Moc gorących rycew
Bożonarodzeniowych i Noworocznych
Płakada Czynelnikom
Redakcja*

Fot. M. Sus

Stróża - Wojciechówka

W świątecznym numerze naszego pisma zaglądamy do podmiejskiej Stróży, wioski, która w zasadzie łączy się z Ożarowem. Zapewne kiedyś, w niedalekiej przyszłości, wchłonięta zostanie do miasta jako jego zielone, leśne zaplecze. Dotarcie z centrum Ożarowa do pierwszych zabudowań Stróży zajmuje pieszemu kilkanaście minut. Miejska ulica T. Kościuszki przechodzi w ul. Leśną, prowadzącą w kierunku wsi, niepostrzeżenie zmieniając się w drogę wiejską. Ta część Ożarowa, jak widać po inwestycjach budownictwa jednorodzinnego, jest atrakcyjna. Obrasta nowymi domami. Zresztą Stróża ma od dawna dobre notowania. Wszak w międzywojniu

cieszyła się wyjątkową estymą u Żydów, którzy uczynili z tej leśnej wioski kurort. Mikroklimat, wytworzony tu przez leśny kompleks z dominacją sosny, czyste powietrze, piaszczyste podłoże to miejsce przyjazne chorym na gruźlicę, chorobę, która dawniej nękała sporo ludzi. Jej rozszerzaniu sprzyjało kiepskie odżywianie, złe warunki mieszkaniowe, brak ruchu na świeżym powietrzu, brak kontaktu ze słońcem. Pobyt w Stróży łagodził, opóźniał, zapobiegał gruźlicy, więc ciągnęli tu na letnisko przybysze nie tylko z Ożarowa, ale przybysze z Polski, a nawet trafiali się goście z zagranicy. Wynajmowali u miejscowych gospodarzy kwatery, kupowali nabiał i owoce. Wakacje przynosiły więc miejscowym dodatkowe dochody, co dla chłopów gospodarujących na bardzo słabych ziemiach miało spore znaczenie.

Międzywojenna Stróża, a szczególnie miejscowy las był też chętnie odwiedzany w soboty (starozakonnicy) i niedziele (katolicy) przez ożarowian, szczególnie młodych, którzy randkowali tu w malowniczych, leśnych zakątkach. Po holocaustie i po wojnie letniskowa kariera Stróży się skończyła. Stróżanie żyli teraz tylko z kiepskiego rolnictwa. Sytuacja poprawiła się nieco wtedy, kiedy zaczęli karmić lichą ziemię nawozami mineralnymi, ale i tak większość mieszkańców w wieku produkcyjnym znalazła sobie pracę poza rolnictwem. Największym zakładem stała się oczywiście cementownia. Dlatego też we współczesnej Stróży nie brakuje nowych, okazałych domów. Dochody z rolnictwa stanowią dziś margines. Stróżę przedstawiamy wspólnie z przylegającą doń Wojciechówką. Wioski te łączy wspólny sołtys i radny.

J. Myjak